



Eseje, nowele, scenariusze

*Antologia najlepszych utworów literackich uczestników
ogólnopolskiego konkursu literackiego
o Nagrodę Giętkiego Pióra.*

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
ze środków pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Warszawa 2018

Stowarzyszenie Parafiada im. św. Józefa Kalasancjusza

Ul. Gwintowa 3, 00-704 Warszawa

www.parafiada.pl

www.gietkiepioro.parafiada.pl



Redakcja: Małgorzata Włodarczyk

Korekta: Beata Józefowicz

Opracowanie graficzne, skład: Agata Kacprzak

Jury Konkursu: Izabela Żukowska, Katarzyna Haggmajer
-Kwiatek, Faustyna Toeplitz-Cieślak, Małgorzata Sobiesz-
czański, Małgorzata Jędruch-Włodarczyk

Współpraca medialna:



Spis treści:

SŁOWO WSTĘPNE	str 5
ESEJE:	str 6
NOWELE:	str 35
SCENARIUSZE:	str 66
REGULAMIN KONKURSU:	str 114
SPEKTAKL <i>KUBEK POWSTAŃCA</i> - MICHAŁ MATYSZKIEWICZ	str 118

Szanowni Państwo,

Już po raz trzeci sięgamy do twórczości wybitnych polskich pisarzy, by zachęcać młodzież do rozwijania swoich talentów i pasji. Ogólnopolski konkurs literacki o Nagrodę Giętkiego Pióra w 2018 roku oparty został na refleksji i przesłaniu artystycznym płynącym ze słów zmarłego 20 lat temu Zbigniewa Herberta. Warto zauważyć, że celem tego programu edukacyjnego, realizowanego w formie konkursu jest nie tylko podnoszenie umiejętności pisarskich młodzieży, rozwijanie i wspieranie talentów językowych i literackich, podnoszenie dojrzałości intelektualnej, ale także upowszechnianie twórczości i postaci wybranego polskiego wybitnego pisarza. Kolejne etapy konkursu odwoływały się do utworów Zbigniewa Herberta w taki sposób by móc wyrazić własne emocje i sięgnąć do osobistych doświadczeń i refleksji. To duże wyzwanie – wyobraźnia, wrażliwość, osąd intelektualny i moralny ubrane w piękne słowo i ujęte w konkretną formę literacką.

W 2016 roku odbył się konkurs poświęcony polskiemu nobliście – Henrykowi Sienkiewiczowi. W 2017 roku, z okazji obchodów Roku Josepha Conrada-Korzeniowskiego, podjęty został temat twórczości polskiego pisarza – marynisty. Ten rok należał do Herberta. W kolejnych latach sięgniemy po twórczość Stanisława Wyspiańskiego w 150 rocznicę urodzin, a w 2020 do utworów literackich Karola Wojtyły w 100 rocznicę urodzin.

W imieniu Stowarzyszenia dziękuję za dofinansowanie zadania Giętkie Pióro 2018 - 2020 - ogólnopolski konkurs literacki dla młodzieży (Herbert, Wyspiański, Wojtyła) ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Wszystkich uczestników Ogólnopolskiego konkursu literackiego dla młodzieży z inspiracji słowem Herberta zachęcam do rozwijania talentów literackich, a laureatom gratuluję zwycięstwa w rywalizacji z równie uzdolnionymi rówieśnikami.

O. Tomasz Olczak SchP
Prezes Stowarzyszenia

ESEJE

... NA TEMAT PRZEDMIOTU CODZIENNEGO
UŻYTKU Z WŁASNEGO OTOCZENIA W STYLU
ESEISTYKI Z. HERBERTA Z „BARBARZYŃCY W
OGRODZIE” (esej do 1000 słów)

Zuzanna Bober / Nowy Wiśnicz Fiat lux – historia żarówek

„Wtedy Bóg rzekł: «Niechaj się stanie światłość!» I stała się światłość. Bóg widząc, że światłość jest dobra, oddzielił ją od ciemności. I nazwał Bóg światłość dniem, a ciemność nazwał nocą”.

Ostrożnie stawiając kroki w ciemnym pomieszczeniu, nie dostrzegając absolutnie niczego, przesuwałam ręką po chłodnej ścianie w poszukiwaniu kontaktu. I gdy moje palce natrafiły na niego, w jednej chwili z chaosu, nicości, na moich oczach zrodził się mały wszechświat pokoju. Eksplozja światła w żarówce w jednej krótkiej niedoścignionej chwili wydobyła z głębokiej ciemności półki z książkami, biurko i szafki. Ciepłe światło żarówki pozwoliło mi na kaprys nie respektowania nocnych ciemności, z których można sobie w XXI w. dowolnie kpić, czytając lub nawet nawlekając nitkę na ucho igielne, długo po zachodzie słońca.

Cofnijmy się jednak do czasów oddalonych o wieki. Czasy te tonęły w jednej wielkiej niewiedzy historycznej, przebijanej jedynie jakimiś domysłami i hipotezami, a czasem nawet faktami, których możemy być pewni lub prawie pewni. Nasi praojcowie żyli wtedy w świecie, w którym żadne zegary nie wyznaczały godzin. Obserwowano wędrówkę słońca, fazy księżyca i migrację zwierząt aby odmierzać czas. Pozostawieni niełasce ciemnych nocy, nieobdarzeni jeszcze dobrodziejstwem żarówek, żyli w świecie, po którym stąpały dobre i złe duchy. Te drugie winiono za wszelkie nieszczęścia, jak np. choroby. „Nasz daleki protoplast, kierując się tylko intuicją i rozumiejąc na podstawie wrażeń zmysłowych, bał się wszystkiego co go otaczało, nawet własnego cienia. W roślinach zwierzętach, kamieniach, w słońcu, księżycu, błyskawicach widział złe duchy, czyhające na niego, biedaka, podstępne i zjadłe”. Przyrodzie przypisywano magiczną moc, zrodziły się pierwsze kultury, np. kult płodności czy kult ognia.

W tych niepewnych, drapieżnych czasach, człowiek w ciemnościach słuchając wycia wilków lub, co być może gorsze, jakichś nieokreślonych dźwięków, których złowroźność mogła mu podpowiadać wyobrażenia, potykając się o krzewy, których niewyraźne kontury przypominały dzikie bestie musiał być przerażony nocą. Dlatego myślę, że nietrudno zrozumieć zrodzenie się kultu ognia, który odganiał dzikie bestie i rozpraszał głębokie, wcześniej niezmażone ciemności.

My Europejczycy, dzieci kultury Greków i Rzymian, żyjący w cywilizacji zbudowanej na nieco pokrytych kurzem ruinach starożytnych

świętyń, przez które przebija ponadczasowe piękno, znamy wszyscy (lub prawie wszyscy) mit o Prometeuszu. Historia altruistycznego tytana, który ukradł bogom ogień (światło) jest nam znana często od najwcześniejszych szkolnych lat.

W micie, tym skarbem wartym największego poświęcenia, nie jest tak naprawdę coś, czemu w XXI w. na co dzień byśmy przypisywali wartość. Jeśli tylko najdzie mnie na to ochota, mogę zapalić wszystkie zapalniczki jakie tylko znajdę w domu i wrzucić je do wanny z wodą, lub pstrykać włącznikiem światła do woli i obserwować jak ciemności wypływają i na nowo pożerają pomieszczenie. I do tego mogę dokonywać owego marnotrawstwa, nie ponosząc żadnych bolesnych konsekwencji! Czy więc może być mowa o wielkiej wartości żarówek? Czy można je nazwać wielkim dobrodziejstwem?

Prosty pierwotny ogień, odbijający cienie na ścianach jaskini i roztańczający ciepłą łunę na brudne, poorane trudem życia ręce prehistorycznych myśliwych, a żarówki dostępne w wielu barwach, kształtach i o różnej mocy, w świetle których toczy się nasze życie dzieli oczywiście przepaść. Przepaść tę wypełniają liczne stulecia i „ogniwa pośrednie”, czyli ogniska domowe Hestii, święte ognie płonące w świątyniach, kaganki z łojem zwierzęcym, średniowieczne świeczniki, lampy naftowe... Aż wreszcie, 21 października 1879 r., pan Thomas Alva Edison podarował światu jasny blask żarówki.

Światło elektryczne oderwało nas od życia naszych przodków. Od życia zgodnie z cyklami świata przyrody. Nie jesteśmy już panami świata dniem, a nocą myśliwymi, którzy łatwo mogą stać się zwierzyną. Nie jesteśmy już także sługami kapryśnego paleniska domowego, które pragnie by je doglądać i karmić suchym drewnem. Nocą na ulicach palą się latarnie, a wokół wielu domów lampki, poza tym po drogach jeżdżą samochody tnąc światłami granatowy płaszcz nocy. Nie ma już tych pierwotnych, niczym niezmaconych ciemności. Nawet „W okresie najkrótszych sennych dni zimowych, ujętych z obu stron, od poranku i od wieczora, w futrzane krawędzie zmierzchów (...)", żarówki świecą już od godziny szesnastej i nie ulegamy wydłużającym się nocnym ciemnościom.

W słowniku symboli nie znalazłam strony poświęconej żarówce, dlatego należy ją utożsamiać ze światłem, które symbolizuje między innymi: dobrobyt, świętość, wesołość, mądrość, szczęście. Światło czy żarówka mają więc znaczenie pozytywne w sztuce. Jednak jest pewien niesamowity obraz, który odbiega od tego założenia, a mianowicie „Guernica” pędzla Pabla Picassa. Na obrazie tym znajduje się złowrogie oko z żarówką zamiast

żrenicy. Artysta, malując owo oko, odrzucił całkowicie utartą symbolikę światła. Biała, surowa żarówka przypomina sposób przedstawienia światła w obrazie Francisco Goy'i „Rozstrzelanie powstańców madryckich 3 maja 1808 r”. Światło na obu obrazach nie jest niczym pozytywnym, jest raczej świadkiem straszliwych wydarzeń, może nawet zdrajcą wydającym bohaterów, których mogły skryć ciemności. To odwrócenie odwiecznego porządku rzeczy, instynktownego lęku przed ciemnościami i nadziei niesionej przez światło jest co najmniej intrygujące. Jednak w obrazie Picassa jest jeszcze jedno światło. Płonąca świeca trzymana przez rękę wyciągniętą w stronę złowrogiego oka. Światło płomienia świecy zdaje się walczyć ze światłem żarówki. Czyżby wielkie oko z żarówką symbolizowało zło, a nikły płomień świecy dobro?

Lęk przed ciemnością jest czymś instynktownym i mocno zakorzenionym w nas, ludziach. Nieważne w jakich czasach żyjemy, jak bardzo jest rozwinięta nasza cywilizacja, pewne rzeczy tkwią w każdym z nas głębo i tak będzie zawsze. Żarówka jest natomiast przykładem z pozoru prozaicznego przedmiotu, którego potrzeba powstania jest tak stara, jak bytowanie nas – ludzi na tym świecie i wiąże się z naszymi najbardziej pierwotnymi i mocnymi instynktami. My, ludzie z sercami w których drzemią te same odwieczne lęki, którymi przepełniona jest ziemia po której stąpamy, gnani jesteśmy jednym najbardziej pierwotnym instynktem – instynktem przetrwania. Pragniemy mocno światła i do niego lgniemy, nawet jeśli nie jesteśmy tego świadomi, i choć dzieli nas wszystkich tak wiele spraw, w głębi każdy z nas jest podobny.

Aleksandra Borcz / Będzin **Dzień za dniem**

Cześć! Zanim wypowiem swoje imię pozwólcie, że najpierw opiszę jaki jestem. Jestem zmienny w czasie, a na imię mam Kalendarz. Ludzie tak szybko biegną przez swoje życie, że nie nadążają dostrzec, co oferuje im krótka chwila. Niby mgnienie oka, a jednak perła zdobiąca nasze życie. Ja tymczasem każdy dzień skrzętnie zapamiętuję na kartach mojego istnienia...

Zaczyna się mroźnie, czasem wieje, zawsze tajemniczo. Wyjątkowość pierwszego stycznia za każdym razem budzi nowe, odważne nadzieje i wiarę, że kolejny rok będzie lepszy niż poprzedni. Niewiele dni upłynie, a dzieci będą śmigać z górki na sankach, na nartach, bo to ferie –

te zimowe. Niech szaleją! To ich czas, niech lepią bałwana, niech rzucają śnieżkami, to ten moment, to ta chwila! Później – Walentynki, święto zakochanych i przyjaciół, które z pewnością rozgrzeje serca w zimowy czas. Nim się obejrzą, już wiosna puka nieśmiało do drzwi i chętnie zagląda przez okno. Dzień Kobiet – 8 marca, bukietem kwiatów kobiety ucieszy. Coraz więcej kolorów. Za oknem zieleń, budzi się przyroda, ptaki radośnie witają słońce i Święta Wielkiej Nocy śpiewem oznajmiają. Teraz czas na dowcip, mały psikus, drobny żarcik, by 1 kwietnia na twarzach ludzi zagościł uśmiech.

Żyjmy radośnie, cieszymy się wiosną! Szanowni Państwo, koleżanki i koledzy – czas na grilla. Majówka! Pozwólmymy sobie na chwilę odpoczynku. Spędźmy ten czas w gronie najbliższych. Wokół przyroda tryska młodością, soczysta zieleń zaprasza do poznawania świata. Ooo! 10 maja – zapisany ważny sprawdzian z polskiego. Ojej! 2 dni później klasówka z matematyki. Za oknem tak pięknie, a nauka wzywa. Wyczuwam konflikt interesów. Szkoła, obowiązki czy zabawa? Uff, już niebawem wakacje, na horyzoncie lipiec. Po drodze jeszcze czerwiec, a w nim święto wszystkich dzieci. Ktoś napisał na karcie w tym dniu, że legalnie nie musi się myć, w końcu to jego święto. Ach ten czerwiec! Boże Ciało, procesje na ulicach miast. Z daleka obserwuje i podziwiam barwne korowody ludzi uczestniczących w ceremonii. Jeszcze chwila, może 2 tygodnie i od dawna wyciekwany koniec roku szkolnego. Tak! 22 czerwca.

Na karcie wykrzyknik, a na następnej – pod datą 1 lipca zapisane drukowanymi literami najpiękniejsze słowo świata: WAKACJE!. 10 dni w Wejherowie. Lato, lato... Wyjazdy, wycieczki, kolonie, przygody.

20 lipca Mazury! Znow nierówna walka z komarami. Przeżyjemy. Wkrótce połowa wakacji za nami... 3 sierpnia – spłata raty, a potem Bieszczady. Rezerwacja na 4 dni. Już sobie wyobrażam miękkie linie bieszczadzkich gór, morze zieleni i ja, gdzieś na połoninie. Czuję się jakbym był bliżej nieba. To moje ulubione miejsce o którym marzę przez cały rok i do którego wciąż tak chętnie wracam. Żal wyjeżdżać. Z wielką nostalgią i sympatią myślami wracam do skąpanych w słońcu bieszczadzskich szlaków. Sierpień, sierpień i po sierpniu. A 1 września nowy rok szkolny, nowe obowiązki. Uczniowie z wakacyjnym bagażem przygód i wrażeń wracają do szkolnych ławek. Na 9 września nauczyciel zapowiada dyktando... 21 września – organizujemy rowerową wycieczkę na Jurę Krakowsko-Częstochowską. Skrzętnie zapisane:

Uczestnicy: nasza klasa.

Gotowy skład: wszyscy.

Opiekunowie: wychowawca.

Trasa: Mirów – Bobolice.

Taką wiadomość wiecznym piórem napisano na jednej z kart. Trzymam kciuki, żeby nikomu nie spadł łańcuch w rowerze. Na pewno będzie fajnie, trochę pod górkę, trochę z górki, jak to na Jurze. Damy radę! Czas płynie, jesień maluje drzewa na złoto. Listopad. Drzewa bez liści stoją tak samotne i smutne. Niebawem spadnie śnieg, który otuli świat białym puchem. W listopadzie zaznaczone urodziny, szykuje się kolejne spotkanie rodzinne...

Kto założył na prezent? Nadszedł grudzień. „Pada śnieg, pada śnieg, dzwonią dzwonki sań”, Wigilia. Wyjątkowy czas. Niby środek zimy, a tyle radości i ciepła. Zanotowana godzina 16:00. O tej porze rodzina zasiądzie przy stole, będą życzenia i wigilijny barszcz z uszkami. Ten rok minął niczym jeden dzień. Obudziłem się w styczniu, w lipcu uśmiechnąłem, a w grudniu idę spać, by znów w kolejnym roku obudzić się na nowo. Kołowrotek czasu... To będzie dobry rok...

Emilia Duszeńko / Brzeg Brama Nadodrzańska

Wiele razy przechadzałam się alejkami brzeskiego parku nad Odrą, w którym dominuje mnóstwo zieleni wiosną i latem. Jesienią zaś dojrzyć można całą paletę kolorów, a zimą hipnotyzują śnieżnobiałe barwy. Zawsze punktem kulminacyjnym mojej wędrówki był szczyt Bramy Odrzańskiej. Zazwyczaj towarzyszyła mi przyjaciółka. Siadałyśmy sobie wówczas, zachwycając się wspaniałym widokiem, którym nieraz zdarzało się być zachód słońca, a w międzyczasie pogrywałyśmy na gitarze, wytapując przy tym rytm śpiewu ptaków. Czasami lubiłam samotne spacerować z książką. Siadałam wtedy na ławce tonąc w szeleszczących kartkach. Niezależnie od pory roku, dnia czy od pogody, brama była moim miejscem rozmyślań. Kiedy prażyło słońce, zatapiałam się w jego promieniach kontemplując. Moimi myślami zawładnęły życiowe refleksje dotyczące przyszłości, tej bliskiej, ale i też tej dalekiej – starości. Gdy zaś było pochmurno i deszczowo, starałam się zrozumieć przeznaczenie kropelek wody które zwawo podążają ku ziemi.

Pewnego dnia, będąc już na miejscu, usłyszałam rozmowę dwóch starszych mężczyzn, którzy właśnie wymieniali poglądy na temat Bramy. Twierdzili, że jest niepotrzebna, a łobuzy z naszego miasta i tak w końcu ją zniszczą. Nie zgadzam się z ich zdaniem, ponieważ sama wiele

razy widziałam zachwyt w oczach młodych ludzi, którzy nie zawsze byli turystami. Także miejscowi podczas codziennych spacerów zachwycają się widokiem zabytku. Sama więc postanowiłam się przyjrzeć Bramie z bliska i poznać jej historię.

Wpatrując się w kawałek piaskowca z okresu późnego renesansu dostrzegłam wiele drobiazków. Na tej masywnej ścianie attykowej znajdują się kartusze herbowe: księcia Joachima Fryderyka (podtrzymywany przez lwy) i jego żony księżnej Anny Marii von Anhalt (podtrzymywany przez gryfy). Powyżej – łaciński napis „Verbum Domini Manet in Aethernum” (Słowo Pańskie trwa na wieki). Dzięki niemu Brama staje się metaforą. Nie jest to już nędzna, zwykła sterta gruzu, przy której miło się rozmyśla, lecz coś, co ma swój charakter. Bo przecież Brama to przejście do nieba. Pewnie niejednemu stojącemu przed nią wydawało się, jakby zaraz miał opuścić ziemię by stanąć przed Sądem Ostatecznym, że właśnie w tej chwili nadchodzi kres życia ziemskiego, a to jest początek drugiego, może jeszcze lepszego?

Innym razem, przebywając w tym miejscu, spotkałam wycieczkę. Przewodnik opowiadał turystom o zamiarach konserwatora, który chce wydobyć wszystkie części Bramy i ją rozbudować, a także umieścić na niej tabliczkę z informacjami o zabytku. Bardzo spodobało mi się to co usłyszałam. Przecież teraz każdy zainteresowany będzie mógł dowiedzieć się kilku ważnych rzeczy o Bramie. Ludzie docenią znaczenie tego miejsca, które wzbudza ciekawość.

Naprzeciw bramy znajduje się ławeczka. To właśnie siedząc na niej, już chyba tysięczny raz wpatrywałam się w budowlę. Możecie spytać: „Co w tym takiego ciekawego?” – już tłumaczę. Każda pora dnia zmienia to miejsce na swój sposób, przez co zmienia jego charakter. Rankiem, kiedy siedzące na drzewach ptaki śpiewają, wydaje się, że Brama jest przejściem do radosnego nieba. I właśnie ten melodyjny i skoczny śpiew jej dodaje klimatu. W południe, kiedy blask słońca odbija się od Bramy niczym promienie od lustra, mamy wrażenie, jakby wszystko wokół wołało do nas: „Już czas!”... A co się dzieje nocą, kiedy zapada zmrok? Wtedy właśnie nastaje „przerwa” w cudowności tego miejsca, gdyż staje się ono straszne, budzi grozę. Mamy wrażenie, że ptaki, które jeszcze niedawno radośnie ćwierkały zmieniły się w potwory, i niczym te z filmu Alfreda Hitchcocka zaatakują ludzi. Słyszałam wiele różnych zdań na temat najlepszej pogody czy pory dnia na przechadzkę tamtędy. Jednak swojego zdania nie zmienię. Najlepiej przebywa się tam wieczorami, kiedy rześki wiatr otula nozdrza, a słońce chowa się poza horyzont, by ustąpić miejsca

księżycowi.

Brama jest późnorenesansowym projektem braci Bernarda i Petera Niuronów, dwóch włoskich architektów. W latach 1595 - 1596 została wzniesiona przy bastionie Odrzańskim na wysokości mostu przez murarzy - Jerzego Schobera i Michała Kockerta. Wymurowany tunel przecinający bastion otrzymał bogato zdobioną oprawę w formie kamiennego portalu. Na początku XIX w., po zdobyciu miasta przez wojska francuskie, rozpoczęto stopniową likwidację fortyfikacji. W jej ostatnim etapie została rozebrana również Brama Odrzańska, a kamienny portal przeniesiono do parku utworzonego na terenie dotychczasowego bastionu zachodniego. Podczas remontu w 1982 r. nakryto Bramę stropem betonowym i utworzono taras z widokiem na panoramę doliny Odry...

Bardzo lubię czytać książki na ławeczce vis-à-vis Bramy. Czuję się wtedy wyjątkowa. Dumna z tego, że to właśnie ja, a nie kto inny, mogę siedzieć w tak cudownym miejscu, oddychać świeżym powietrzem, słuchać melancholijnego śpiewu ptaków i zagłębiać się w fabułę książki, nie wierząc, że Rudego porwali. Muszę przyznać się do czegoś. Otóż pewnego dnia tak pochłonęło mnie to wszystko, że zapomniałam wrócić do domu, a mama zawiadomiła policję.

Jestem dumna z tego, że Brama Odrzańska znajduje się w Brzegu, w miejscu mojego zamieszkania. W miejscu, gdzie można usłyszeć wiatr, który zawsze ma wiele do powiedzenia, szum wód sprzeczących się ze sobą i swoje własne myśli. Bezlistne drzewa znajdujące się tuż obok, dodają uroku Bramie. Otulają ją szronem, od którego odbijają się blade promienie światła wpadające wprost do oczu. Jednocześnie możemy dojrzeć tak wiele i docenić chwilę samotności. Miejsce to można na nowo odkrywać każdego dnia, bo jak mówi święty Augustyn „Świat jest książką i ci, którzy nie podróżują, czytają tylko jedną stronę”, a „Podróżnik, który nie potrafi obserwować, jest jak ptak pozbawiony skrzydeł” (Moslih Eddin Saad).

Angelika Kowalska / Włoszczowa Ploteczki przy herbacie

Nigdy wcześniej nie podejrzewałam, że mogę być szpiegowana. Co prawda mam dość niekonwencjonalne pomysły, a moje nazwisko pojawiło się parę razy w lokalnej gazecie, jednak to jeszcze niewystarczający powód do inwigilacji.

Przez siedemnaście lat i dwa miesiące żyliśmy razem pod jednym dachem. Wciąż czuję do niej lekki sentyment. Ze wszystkich sił staram się go zagłuszyć, nabrać dystansu. Łączy nas jednak zbyt wiele wspomnień. Razem rozpoczynaliśmy i kończyliśmy dzień, dzieliłyśmy radość, łzy, niepewność. Pamiętam, gdy pewnego razu...

Teraz siedzę przy prostym drewnianym stoliku na werandzie. Delikatne podmuchy wiatru lekko bujają moim fotelem na bieżniach. Zdają się z nim przekomarzać, niczym małe kocię z matką. Podlatują blisko, bliźniutko, jakby nieśmiało, pełne szacunku dla starszego. I nagle: trach!... Uderzają z pełną mocą, jakże niesforne i złośliwe! Czuję gorące krople herbaty opadające na kolana. Na szczęście napój zdążył już nieco przestygnąć. Zdenerwowana rozglądam się za winowajcą, nikogo jednak nie widzę. Wiatr ucieka tak szybko, jak się pojawił.

Biorę do ręki ściereczkę, by posprzątać bałagan, lecz nie jestem w stanie nawet się poruszyć. Serce natychmiast przyspiesza, od karku rozchodzi się zimny dreszcz. Niemal czuję wwiercające się w plecy spojrzenie. To znówu ona!

Powoli unoszę głowę, by zachować resztki godności. Stoi tam, oparta z filiżanką. Dostrzegam błyszczące zdobienia. Zupełnie jakby zarzuciła sobie na szyję sznury listków akantu i jakiś bliżej mi nie znanych kwiatów. Zdaje się wyłaniać z tej dżungli wysoka, smukła, błyszcząca srebrem od góry do dołu. Jednak najbardziej zdumiewa mnie jej twarz. Okrągła, lecz bez wyrazu. Nigdy nie widziałam jej oczu, ust, nosa.

Może nie jest wystarczająco piękna by brać udział w przyjęciach? Lecz ja także nie mogę się równać z Piękną Heleną. Pomyślałabym, że jest nieśmiała. Brała jednak udział w tylu wydarzeniach, że nieśmiałość powinna ją już dawno opuścić... Nie! Ona musi czuć się przygnieciona. Tym wszystkim, co dzieje się dookoła, sekretami, których nie może nikomu wyjawić. A najbardziej samotnością. Jest w końcu ostatnią spośród posagu babci Zofii.

Łyżeczka! Ileż ta jedna łyżeczka musiała doświadczyć przez prawie czterdzieści lat! Tyle chrzcin, komunii, wesel, niezliczonych mniejszych i większych uroczystości. Cichutkie „Sto lat!”, ciasteczko z wbita świeczką. Przetrwiała przyjęcie na pięćdziesiąt osób, podczas którego zginęły jej cztery towarzyszki.

Na co dzień także nie miała łatwo. W iluż kłótniach milczała, bezstronna asesorka! A spiski, dziecięce pakty przeciw członkom innej bandy, nieporozumienia o pilota do telewizora?

Była także świadkiem szczęścia. Przy niej właśnie wujek Grze-

gorz wreszcie oświadczył się Maryli, po ośmiu latach wzdychania. Tu oznajmili nam, że spodziewają się dziecka. Pamiętam, gdy sama mieszałam łyżeczką herbatę, przestraszona, niepewna zamiarów chłopca, który siedział przede mną. Oboje byliśmy tak zawstydzeni! Nawet nie odzywaliśmy się do siebie, mój przyjaciel tylko od czasu do czasu rzucał jakieś uwagi o wyjątkowym smaku napoju, ja zaprzeczałam (ale tylko dla zasady, bo nie lubię potakiwać), znów zapadała cisza. I wtedy: brzęk...! Głucho spadła na podłogę. Zupełnie sama z siebie, przysięgam! Jestem pewna, że opierałam ją o spodeczek!

Jak na komendę oboje rzucały się za łyżeczką. Może odrobi-
nę zbyt gwałtownie, bo moja spódniczka zaczepia się o brzeg krzeselka (które prawdopodobnie również działa w siatce szpiegowskiej), wywijam jakiś dziwny obrót. Staram się zachować resztki godności, kiedy leżę na podłodze. Podnoszę łyżeczkę leżącą nieopodal i... Nie mogę przestać się śmiać! Czy to czupiradło z ogromnym nosem to naprawdę ja? Odbicie mojej twarzy jest tak żałosne, że nie wiem, czy nie powinienam raczej wybuchnąć płaczem. Ależ musiałam sobie zrobić reklamę! Mój przyjaciel przez chwilę przygląda się zaciekawiony, a po chwili sam mi wtóruje. Od tej pory już nie zapada między nami cisza. Niechętnie przyznaję: łyżeczka ma w tym swoją załugę.

Sama nie potrafiłabym milczeć, gdy coś się dzieje. Ona jednak nie jest bierna – po prostu nie reaguje. Gromadzi informacje, słowa, gesty, tak jak kolekcjonerzy cenne monety. Zazdrośnie strzeże swoich skarbów. Jednak dla dobra przyjaciół, oddaje je, kawałeczek po kawałeczku. Właśnie dla nas poświęca wszystkie swoje kosztowności. Może rzeczywiście się pomyliłam. Nie jest tak dwulicowa, ani... „Dziękuję” – szepczę.

Laura Kuźniak / Będzin **Wnętrze pełne smaku**

To podstawa każdego młodego, ale i doświadczonego kucha-
rza. Każdy ma go w domu. Nie lubi, kiedy myli się go z mikrofalą, ponieważ jest większy i ma więcej możliwości. Potrafi coś upiec, podsmażyć. „Za to jak się zdenerwuję, maluję na czarno” – powiada. Nie przepada za wysoki-
mi temperaturami. „Pocę się wtedy i para ode mnie bucha. Od zera do stu trzydziestu stopni jest w sam raz” – dodaje. Ma swoje wymagania: „Trzeba mnie czyścić raz w miesiącu, abym się nie kleił. Chcę mieć czyste kratki,

wtedy blaszki są chętniejsze do przebywania w moim wnętrzu. Drzwiczki naoliwione, aby nie skrzypiały, bo wtedy aż mnie śrubki bołą. Niech będą czyste i lśniące, bo zawsze patrzą przez nie małe brzdące” – powiada. Uwielbia, tak jak my, zapach pieczonych ciast w brytfankach. Nie jest tajemnicą, że jako dżentelmen często je podrywa, sprawia że się rumienia...

„Tak jak inne sprzęty mam swoją żywotność. Używać należy mnie z głową i nie przegrzewać” – ostrzega. Dobrze. Teraz kilka słów o jego wyglądzie w kuchni. Można go zabudować, aby nie był tak widoczny. On za tym za bardzo nie przepada, gdyż woli być dostrzegany przez wszystkich. Jest dużym sprzętem i wstawić go do kuchni to nie lada wyzwanie. O swojej budowie powie sam tak: „Jestem skomplikowany, dużo we mnie śrubek, metalowych części i podobnych tworzyw. Mam w środku grzałki, dzięki którym piekę potrawy i ciasta”. Urządzenie to dba o bezpieczeństwo domowników, dlatego ostrzega, aby dzieci przy nim nie majstrowały i paluszkami małymi w kabelkach nie cudowały.

„Od czasu do czasu mechanika potrzebuję, aby sprawdził, czy nie czas na emeryturę” – mówi spokojnym głosem piekarnik, kłaniając się publiczności.

Michał Matyszkiewicz / Dąbrowa Górnicza Otwierając książkę...

Otwierając książkę...

... możemy poczuć się tak, jakbyśmy odwiedzali szlakiem Herberta inne kraje, jakbyśmy podczas podróży „wydobywali ślady, znaki utraconej wspólnoty” i doszukiwali się więzi duchowej z ludźmi minionych epok, spoglądali na przodków przez pryzmat ich osobowości i rozumu, poznawali ich świat prawie że czując i rozumiejąc jego dawne problemy i zażyłości, których my już nie znamy, które nie dosięgnęły naszych czasów osadzając się gdzieś na zakurzonych kartach historii.

Lecz czym jest książka? Spoglądając na nią można zobaczyć tylko setki karteek z czarnym atramentem, posklejane za pomocą kleju drukarskiego. Razem cała ta formuła tworzy spójną i przygotowaną dla odbiorcy historię, gotową do poznania zaraz po otworzeniu pierwszej strony. Czym byłyby książka gdyby zabrakło choć jednego z tych czynników – tuszu, karteek, kleju? Bezładem porzucanych pomysłów autora niemogących znaleźć żadnego ujścia i urzeczywistnienia, nic nie wartym stosem śmieci leżącym gdzieś na uboczu rozwoju cywilizacji. Tylko czy do tego rozwoju

by faktycznie doszło? Gliniane tablice Hammurabiego, wielkie zakurzone manuskrypty w celach średniowiecznych mnichów czy rewolucyjne dzieła poetów, polityków, wydawane w najbardziej przełomowych momentach świata. Te wszystkie projekty zostały urzeczywistnione – zapisane na materiale i przygotowane dla odbioru dla ogółu społeczeństwa. Nawet jeśli nie wyglądały tak jak książkę znamy i postrzegamy dzisiaj, pełniły te same funkcje. Edukowały, zmuszały do użycia wyobraźni, otwierały odbiorcy nowe drzwi do kompletnie nieznanego mu wcześniej świata, poszerzały horyzonty – prowokowały rozwój cywilizacji. Księga jest matką wszystkich praw, obyczajów, państw i historii. To w formę książki są zawarte najważniejsze dokumenty państw. Jest ona pierwowzorem najważniejszych dokumentów, deklaracji i zrywów. Jak powiedział Mieczysław Kotarbiński – „Ludzkość wymyśliła dwie doniosłe rzeczy na świecie. Najmądrzejszą rzecz – książkę i najgłupszą – wojnę”. Obie te „ludzkie doniosłości” są swoimi naturalnymi wrogami, a jednak mimo tego mogą współistnieć obok siebie lub nawet wpływać na siebie nawzajem – ileż zła spowodował Manifest Komunistyczny czy Mein Kampf? Ilu ludzi musiało stracić życie przez wydawałoby się „tylko kartki” sklezione klejem? Z drugiej jednak strony, spisane na początku istnienia Stanów Zjednoczonych słowa zaczynające się od: „My, Naród...” również zostały ujęte w formę książki. Zakończyły walkę o niepodległość i zwieńczyły trud i poświęcenie amerykańskich rewolucjonistów. Czy podobna sytuacja nie miała miejsca w przypadku Konstytucji Trzeciego Maja?

Księga jako obiekt fizyczny nie ma absolutnie żadnej mocy sprawczej, prawdziwa potęga i źródła wszystkich ideologii, fundament państw i zarzewie buntów rodzi się z myśli i słów zawartych na jej kartkach, zależnych tylko od autora i od jego idei które chciał przekazać dalej i zostawić światu jako swój testament, który będzie po nim utrzymywał wieczną pamięć. Są wielkie słowa i idee które należy głosić bez ustanku, „powtarzać je z uporem, jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku”, które należy kultywować i utrzymać w mocy za wszelką cenę. Są to wszelkie słowa mówiące o naszych tradycjach i zwyczajach, o naszej pamięci narodowej i tożsamości którą musimy zachować. Są to wyznaczniki naszej cywilizacji, istoty naszego życia i wszelkie uniwersalne wartości, które powinny obowiązywać nie tylko w Polsce, nie tylko w Europie, ale na całym świecie. Niestety jednak czasem, jak w czasie drugiej wojny światowej, człowiek nie dość, że przestaje je podtrzymywać, to w dodatku wypiera je, wpychając na ich miejsce swoje zbrodnicze ideały. Mądrość zapisana tuszem na kartkach książek przegrywa w starciu z gniewem ludzkim i

ogniem, w którym giną słowa niezgodne z panującą ideologią. Ogień trawił wtedy nie tylko książkę, z dymem ulatywały całe życiorysy i ostatnie pamiętki po dawnych dziejach, ideały, które przodkowie próbowali nam w jakiś sposób przekazać – a wszystko to w imię wymagowanych teorii i bezwzględnej posłuszeństwa totalitarnej władzy, dążącej do bezwzględnego wyniszczenia wszelkich innych poglądów i ideologii, które stały na drodze do kontroli nad umysłami i działaniami ludzi...

Historia jednak pokazała, że nawet mimo wielkiego zapału i motywacji do zniszczenia książek, one przetrwały i przetrwają wszystko, bo są fundamentem cywilizacji i historii, na którym wszystko się opiera. A tak jak fundament konstrukcji musi być nienaruszony żeby utrzymać pnącą się w górę budowlę, musi być dopasowany i przygotowany na dalszy rozwój budynku tak jak mały pojedynczy „kamień w katedrze” był elementem wielkiej układanki tworzącej piękne, strzeliste budowle, tak książki są i będą niezachwianą podstawą naszej cywilizacji – będą jej fundamentem i dopasują się do każdej sytuacji którą ona wytworzy, bo podtrzymuje ją każde pojedyncze „zdanie w utworze” – w fundamentach naszej cywilizacji leżą miliony zdań skupiających się w tysiące dzieł, tak bardzo złożonych, że nie można nagle, za jednym zamachem ich uszkodzić ani osłabić.

Sami jednak stajemy się zagrożeniem dla własnej cywilizacji ignorując te wszystkie dzieła od których tak naprawdę zaczęliśmy się rozwijać. Ignorujemy czytanie na rzecz korzystania ze środków masowego przekazu, zapominamy jak samodzielnie myśleć mając podany na tacy gotowy schemat tego co mamy wiedzieć i co na jaki temat uważać. Mass media są w stanie w zawrotnym tempie zmienić nasze podejście do pewnego tematu za pomocą odpowiednio dobrej ukrytej propagandy i wysublimowanego doboru słów, co zawęży nam pole widzenia. Jedyną drogą aby uniknąć wpadnięcia w ten medialny rynsztok są książki. Czytanie ich i dochodzenie do własnych wniosków, własnych torów myślenia i wyrobienie sobie szerszych horyzontów, aby móc na przedstawiony temat spojrzeć z wielu perspektyw i wyrobić sobie o nich własne zdanie. Ludzie, którzy tego nie robią stają się niewolnikami mediów, nie są zorientowani w świecie i odrzucają wszelkie inne poglądy na dany temat poza tymi, które zostaną im zaserwowane z przezroczytego ekranu telewizora, odrzucają stare mądrości i dawne księgi, nie rozumieją ich. Oburzają się widząc, że ktoś kiedyś śmiał mieć inne spojrzenie na świat. Sami sumiennie i cierpliwie jak woda drążąca skałę podkopujemy nasze fundamenty odchodząc od książek, ignorujemy je i staramy się ograniczyć ich zasięg

działania, mniej czytamy – „palimy książki” odbierając im ich najważniejszą, edukacyjną cechę – „palimy książki” odkładając je z pogardą na półkę bez zamiaru ich poznania i przeczytania.

Zamierają projekty nie ukończonych książek. Nikogo nie interesują już wielkie przygody i dorobek pokoleń. Synowie tych, którzy pisali wielkie dzieła, uważają je za przeżytek.

Aleksandra Orlikowska /Opole/ Czyli wszystko jest sztuką

/pisownia oryginalna/

Pierwszy, w którym zaciekawiam czytelnika

Jakiś czas temu współtworzyłam razem z amatorskim teatrem AGLET spektakl pt. „Krąg dziewięćdziesięciu dziewięciu”, na podstawie prostej bajki Jorga Bucaya.

No dobra autorze tego eseju – wiem, że ty możesz jeszcze długo o swojej karierze teatralnej, ale do tematu. Masz dziś strasznie rozbiegane myśli.

Spokojnie, zaraz dojdę do głównego tematu. Daj mi jeszcze chwilkę. Co ciekawe, do przygotowania tego spektaklu nie wykorzystaliśmy żadnej scenografii ani kostiumów, jedyny wyjątek stanowiły małe piłeczki pingpongowe.

Że co? Że tacy z was niby „artyści”, że się odwołujecie do teatru Grotowskiego itd. Przyznaj się – po prostu nie było was na cokolwiek stać.

Mimo to, przy użyciu jednego elementu naszej codziennej garderoby byliśmy w stanie zarysować wyraźnie charaktery naszych postaci. Zbudowaliśmy nimi sytuacje i sceny. Prawdę mówiąc prowadził nas przez cały spektakl.

Zwykłe buty zmieniły swoje zwyczajowe miejsce oraz przeznaczenie, zamiast chronić stopy zostały narzędziem do opowiedzenia historii człowieka, który gonił za pieniędzmi.

(Ale do tego wrócimy za chwilę)

Drugi, w którym nawiązuję do mojego życia

Przystanek tramwajowy. Ogólnie jestem strasznie zmęczona. Siódemka się spóźnia, jak zawsze w środy. Dość zwyczajny majowy wieczór i zwyczajny przystanek – jedna rzecz się jakby nie zgadza. Na ławce leży bezdomny, a obok niego leżą trzy buty. Jedna para i jeden nie do pary. Nie wydają się należeć do tego mężczyzny. Prawdę mówiąc, w ogóle pasują do tego przystanku jak pięść do nosa. I myślę, że takie buty zasługują na opis.

ONA uważa, że buty dzielą się na dwie kategorie: takie które nadają się na scenę i te, które się nie nadają. I te buty zdecydowanie należały do tej pierwszej.

Tu następowalby opis obuwia, ale autor tego eseju jest tak nieudolny, że nie ważne jakich słów by użył to i tak nie oddałby wyjątkowości tych butów. Bardzo za niego przepraszam, muszą więc Państwo użyć swojej wyobraźni. Ze swojej strony podpowiem tylko, że jedna para była damska, a druga męska.

Autobus wciąż nie przyjeżdża, a ja pozwalam sobie na fantazjowanie. Skąd te buty znalazły się na tym przystanku?

Może para tancerzy postanowiła porzucić swoje dotychczasowe życie. Wbrew swoim rodzicom porzucić karierę tancerzy i zostać prawnikami. A na tym przystanku zaczęła się ich podróż.

No dobrze, ale co uważniejszy czytelnik wytknie ci, że buty były trzy...

Może tancerka nie miała w sobie tyle odwagi i wzięła ze sobą na pamiątkę, i w przyszłości będzie pokazywać tego buta wnukom i prawnukom.

Często się mówi „wejdź sobie w czyjeś buty”, ale to nie tak łatwo, bo rzadko kiedy rozmiar jest ten sam.

Wsiadłam do tramwaju. Gdybym spotkała te buty rok temu, nie powstrzymałabym się i wzięła je ze sobą, a potem zaniósłabym do naszego AGLETO-WEGO kantorka, w którym jest wszystko. Naprawdę wszystko. Dziś jednak stwierdziłam że one muszą zostać na tym przystanku, że takie jest

ich przeznaczenie. Nie znalazły się tam przypadkowo, więc raczej nie powinny z niego zniknąć przypadkowo. Jak to mówią, przypadek to inaczej Boża logika.

Jest już po dwudziestej, mało ludzi w tramwaju, tylko smutny brunet patrzy na mnie a ja na niego i znów ONA zjawia mi się przed oczami. Opowiadała mi kiedyś jak wracała po całym dniu autobusem do domu. Jechała razem z panem Czapłą i tak na patrzyli na siebie, że jak wysiadła zapomniła Jazzówek. A potem całe miasto szukało Jazzówek dziewczyny o niespotykanym uśmiechu. Szkoda jedynie pana Czapli, że pije tyle, bo to był dobry aktor.

Trzeci, w którym chyba przechodzę do omówienia zjawisk obuwniczych

Od dzieciństwa znam Kota w butach, wiem że Szewc bez butów chodzi, albo Ubierz kaptcie Jasiu bo się przeziębisz, a jak Idzie luty to podkuj buty. Wschodni mędracy powtarzają, że świat wprowadzie szeroki, ale buty ciasne. Ciekawe, że buty niby przedmiot tak prozaiczny, a Sztuka poświęca mu tyle czasu i przestrzeni. Mam wrażenie, że jednymi z bardziej znanych butów, są te od van Gogha. Historia tych butów nietypowo zaczęła się, gdy były już stare i zniszczone. Prawdopodobnie gdzieś w okolicach roku 1888. Ciekawy rok. W Londynie grasował Kuba Rozpruwacz. George Eastman opatentował kliszę kodak, a niejaki Dorus Rijkers uratował trzydziestu rozbitków ze statku Renown u wybrzeży Holandii. Mógł to być jeden z tych dni, gdy kapryśne, stalowe, paryskie niebo nisko zawiesza się dachami miasta. Van Gogh poszedł tego dnia na pchli targ. Jeśli targ – to sobota. Van Gogh kupił tam parę butów. Starych, schodzonych butów. Sprzedawca pewnie pomyślał że dziwak, ale dobry klient. Ci z pchlich targów przyzwyczajeni są do rzeczy dziwnych. Van Gogh podobno uznał, że są jeszcze zbyt błyszczące. Założył je w deszczowy dzień i chodził po błotach Paryża. Stał podeszwy, ubrudził, doniszczył. A potem je namalował. Buty. Stały się dla malarza tematem do którego wracał uporczywie.

Dobra metoda! Myślisz sobie autorze, że jeśli włożysz do tego eseju wybitnego malarza to z automatu ten esej stanie się lepszy...

Ale coś w tym jest, że są takie buty których nie traktuje się tak jak inne pary. Które w pewien sposób zmieniają twoje życie. Tak jak JEJ Jazzówki. Stały już na tyłu scenach. Dawno nie widziałam żeby ktoś tak dbał o buty.

Pamiętam jedną z naszych pierwszych rozmów na tym moście, powiedziała mi że bardzo jej się podobają moje czerwone buty (Wojtek się zawsze się śmiał że kardynalskie).

Bardzo nie lubię wszystkich internetowych mądrości, Facebookowych cytatów typu; „KOBIETA ZAKOCHUJE SIĘ ŚREDNIO SIEDEM RAZY W ROKU, Z CZEGO SZEŚĆ PRZYPADKÓW TO BUTY” albo „KOPCIUSZEK JEST DOWODEM, ŻE PARA BUTÓW MOŻE ZMIENIĆ TWOJE ŻYCIE”. Kobiety zadbane intelektualnie mają lepsze tematy niż buty. Rozmawiałam kiedyś z kobietą, która była bardzo wysoka i co za tym idzie miała duży rozmiar stopy. Każde zakupy w sieciówkach był dla niej frustrujące, bo nie znajdowała nigdy butów dla siebie. Mimo to powtarza uparcie, że nie ważne jaki masz rozmiar stopy, jedyny rozmiar który się liczy, to rozmiar twojego serca.

Wysiadłam z tramwaju i spaceruję przez te ostatnie 10 minut które dzielą mnie od domu.

Czwarty, w którym staram się dotknąć jakiejś prawdy

Prostej bo prostej i troszku nawet żenującej, ale jednak prawdy.

Buty wiodą podwójne życie. W dzień służą nam jak psy, ale gdy nikt nie patrzy rzucają się dziko w tany i tańczę, bo każdy but ma parę. Nie ma nic smutniejszego i samotnego niż but bez pary.

W sumie to my butów nie znamy. Poznajemy je bardzo powierzchownie, bo kto głupi przyglądałby się podeszwie takiego buta. Bo co niby taka głupia jak but podeszwa ma do zaoferowania? Nic ciekawego, prawda?

I może tak naprawdę na tym przystanku tramwajowym nie było żadnych tancerzy, może tak naprawdę ta historia wyglądała zupełnie inaczej

Może Starego antykwariusza zdradziła żona i uświadomił, że musi zmienić swoje życie? Postanowił więc sprzedać wszystkie swoje graty i w ten sposób zarobić pieniądze na podróż na Islandię. I po trzech latach zostały mu tylko te trzy buty, więc nie mogąc już wytrzymać zostawił je na tym przystanku i z walizkami popędził na lotnisko.

Nieważne jak wyglądała droga tego obuwia, ważne że te buty miały w sobie jakąś historię.

Ten esej zaczęłam od „Kręgu dziewięćdziesięciu dziewięciu”, bo cały ten spektakl uszyliśmy z takich właśnie butów, butów które miały w sobie jakąś historię. Były takimi starymi kolorowymi ptakami wśród butów z sieciówek. Te buty nadawały nam jakiś cech.

I uświadomiło mi to jeszcze jedną rzecz, którą ONA często powtarza:

Buty, czyli wszystko może być sztuką.

Natalia Piątek / Poznań/ Spragniona przestrzeń

Tysiące rzeczy otaczające sedno natury. Miliony emocji. Setki osób ograniczających majestat piękna. Współczesne piękno zawiera w sobie załączki piękna jutra i pokazuje zarys przyszłości.

Wielki kwadrat. Taki był Poznań, gdy pierwszy raz znalazł się we mnie. Upoił mnie i pozostał na dłużej. Twarzą w twarz stoję z nim i go podziwiam. Poznaję coraz więcej innych, zapatrzonych w te same twarze i chodniki. Baudelaire powiedziałby o nich: botanicy chodnika. W niezwykłych, nieobojętnych butach. Ja także takie mam.

Siódma rano, idę do szkoły przez kwadrat rynku, siadam na podłodze i dokładnie wiążę moją nie za dużą, nie za małą baletkę. Brudna, ale niezwykle cenna, dopasowana. Ubrana tylko w szept skrytych myśli... Tańczymy razem jak dwa płomyki, spalamy się z każdym upadkiem i rodzimy na nowo. Zawiązałam, więc siadam w szpagacie i czekam na dzwonek. Otwieram książkę i czytam na głos motywującą mnie przed lekcją myśl Paula Coelho: „Podczas każdego tańca, któremu oddajemy się z radością, umysł traci swoją zdolność kontroli, a ciałem zaczyna kierować serce”.

Poznań utrwała się w pamięci jak terakota na niebieskim tle. Dostrzegam obraz, nieobojętny mi portret Wandy Jakowickiej. Spoglądam za okno. Gołębie podziwiają milczące muzy tkwiące w stołkości ciężkiej pracy. Battement pierwsze. Assemblé drugie. Ćwiczenie za ćwiczeniem, ruch za ruchem. Za oknem tłumy spieszących się ludzi. Fara Poznańska, mityczne stworzenia zdobiące kościół, Stary Rynek przy ulicy Gołębiej, gołębie błagające o chleb, ratusz i ja. Zwykła dziewczyna, która ma za-

szczyt przebywać w murach, po których 400 lat temu kroczył Fryderyk Chopin. Chopin, mój autorytet. Podchodzę do pianina, przypomiąam sobie o nim. Gram „Grande Valse Brillante” i siadam na podłodze. Dziesiąta. Czas płynie tak szybko... Spoglądam na moje stopy, nadal w baletkach. Obracam się – obraz także niezmiennie na ścianie. Otwieram okno, ludzie za oknem znaczą swoje takty. Rutyna, to co codziennie, nazwane przez Jolanę Brach-Czainę „szczelinami istnienia”, pozostanie głębiej niż się wydaje.

Otoczają mnie przedmioty. Spojrzę na obraz, jestem w nim, przeżywam go. Przeżywam z nimi. Francuskie przysłowie mówi „Dobra krew nie może kłamać”. Jestem z siebie dumna. Tylko dlaczego? Sensem istnienia jest moralność. Trzymam baletkę i spoglądam za okno. Obiecuję, że nie odleci jak Panlong. Poza królewskimi gmachami i świątyniami otaczamy się codzienną sympatią. Największa energia i entuzjazm nie połączą nas tak silnie, jak nasz wspólny cel.

Zofia Piotrowska / Wrocław/ Płótno

Miałam 7 lat, kiedy rodzice kupili mi płótno. Na pozór bez znaczenia kremowy, goły materiał. Historia powstania – niewiadoma. Poza tym jedynie słońce o swoich złotych godzinach ma odwagę zagrać główną rolę. Ale coś w nim nurtuje, za nudne. Prowokuje głowę pełną wizji. Tak oto niepojęci marzyciele rozpoczynają rewolucje, skłaniają przeciętnych zjadaczy chleba do refleksji. Agresywne czerwienie krzyczą, pomarańcze bardziej dyskretne – te kremowe przykuwają wzrok, a błękity tak delikatne, że zapominamy o całym bożym świecie. Cytując szaleńca, Vincenta van Gogha: „Niektórzy mogą wygłaszać poezję przez dobre dopasowanie kolorów, tak jak niektórzy robią to za pomocą muzyki”. Malowanie to czysta poezja, pobudzanie emocji, wrażliwości, doznanie piękna. Są takie chwile, gdy kolor, grymas twarzy postaci przedstawiają więcej do powiedzenia niż kilka akapitów słów. Teraz wiem, że dostałam największy skarb – możliwość wylewania mojej wrażliwości na płótno i stworzenia czegoś pięknego.

Czerpanie z własnych doświadczeń – traumatycznych, bądź przepięknych miłością. Natura, która zawstydza geniuszy swoją niewzruszoną potęgą. Kto by pomyślał, że 7 dni wystarczyło, obłądny Stwórca. Wyżej wymienione składają się na nasze obrazy. Internet to kopalnia

możliwości w wielu przypadkach, ale trzeba mieć się na baczności, gdyż może uśpić naszą kreatywność. Ogromna baza obrazów które kuszą skopowaniem, często się z tym spotykam. Lecz aby tworzyć, trzeba mieć swój własny powód.

A jeśli jest mowa o powodach, aż wstyd stanąć w tak drastycznej prawdzie, ale nie rozumiem sztuki współczesnej. Prosty ze mnie człowiek, a soczyste pastele wygrywają z idealnie białym płótnem. W powieści Wybacz mi, Leonardzie Matthew Quicka przywołana jest taka rozmowa: „Widziałem gorsze eksponaty w muzeach z prawdziwą sztuką, na przykład idealnie białe płótno z biegnącym przez środek pojedynczym czerwonym prążkiem. Kiedyś opowiedziałem o obrazie z czerwoną kreską Hero Silvermanowi. Stwierdziłem, że z łatwością sam bym go namalował. On odparł z niesamowitą pewnością w głosie: „Ale nie namalowałeś”. Chyba pastele to błędna droga. Może należy obrać inną.

Płótna mają teraz gorszy czas. Jeśli nie malujemy minimalistycznej sztuki współczesnej, w której jeden tylko autor zna przestanie, cała reszta śmiertelników przeczuwa małą cząstką siebie. Odchodzi się od płóciennych rękodzieł na rzecz realistycznych zdjęć, które w dosłowny sposób obrazują rzeczywistość. Tylko to, co widzimy. Obraz ukazuje, podkreśla wszystko, co jest w stanie wyobrazić sobie autor. Malując, mamy ogromną władzę. Życie bywa trudne ze swoimi absurdami, a chwytając za pędzel, kreujemy własny świat. Parafrazując Juliusza Słowackiego: „Aby pędzel giętki przekazał wszystko, co pomyśli głowa”.

Zdawać by się mogło, że płótna to przeżytek. Jeśli nawet maluję obrazy, to i tak nie można ich nazwać „przedmiotami codziennego użytku”. Ale spojrzmy na modę. Płócienne torby, te wygodne, białe. Ozdobione przyjemną grafiką z niedawno odwiedzonego muzeum, nadrukiem: „Boże spraw, abym kupiła tylko to, po co przyszłam”. Wiele mówią o właścicielach, celach bądź nawet wartościach. Mam przed oczami czarno-białą torbę mojej koleżanki Ani, o odważnym napisie: „Kto znalazł Boga, znalazł samego siebie”. Kto wie, może kogoś z tramwaju zainspiruje, zaowocuje czymś dobrym. Są jak sztuka uliczna. Czasami aż krzyczą.

Szkoda, że we Wrocławiu nie ma tylu murali. Trudno się temu dziwić, malownicze kamieniczki temu nie sprzyjają. Graffiti to najlepszy sposób dotarcia do wielkiego grona odbiorców. Przez wielu uznawany za zwyczajny wandalizm, co jest częściowo prawdą. Sztuka uliczna miała swoje początki już w starożytności. Ludzie na murach ośmieszali władców, na przykład Nerona, tak jak teraz robią to Amerykanie z Donaldem Trampem. Zatem murale dają nam wiele wiedzy historycznej z zakresu

socjologii. Bohaterowie „Kamieni na szaniec” malowali żółtewki. Symbolizowały one powolną pracę dla okupanta.

Idę przez szarą ulicę do szkoły, a myśli kłębią się wokół codziennych problemów, zauważam taki napis: „W taki dzień jak ten, Marco Polo wyruszył do Chin. Jakie są twoje plany na dziś?” Z chęcią poznałabym autora, otwieracza głów.

Pola Rabajczyk / Wrocław/ Krzywe zwierciadło

Czasami zdobią je piękne złote ramy wysadzone drogimi kamieniami. Innymi razy mają tylko zwykłe połączone kawałki drewna. Jedne zdobione bogato, drugie proste i skromne, ale gdy zdejmie się z nich ubranie i tak zawsze są takie same. Lustra. Zwykła rzecz o niezwykłej umiejętności. Bowiem samego lustra zobaczyć się nie da. Wszystko, co widzimy, jest odbite. Dzięki nim poznajemy samych siebie. Widzimy nasze twarze, sylwetki. Potrafimy ocenić, czy jesteśmy atrakcyjni, wynajdować coraz to nowe niedoskonałości. Patrzymy w nie codziennie, ale ich samych nie widzimy. Te niezwykłe w swej prostocie rzeczy mają wiele znaczeń. Mogą symbolizować próżność, tak odpowiedziałyby nam każde dziecko z podstawówki, które oglądało Królową Śnieżkę. Ale! Co nie jest już tak oczywiste, mogą uosabiać nieskończoność. Gdy naprzeciwko siebie postawimy dwa jednakowe zwierciadła, będą one odbijać się w sobie nawzajem aż nie pomniejszą się do końca. Po głębszym zastanowieniu, doszłam do wniosku, że te lustra tworzą iluzję niezwykle głębokich, jakby można było do nich wpaść i spadać tak przez wieczność.

Jak wiemy, lustro jest wiele. Mają one inne kształty, wielkości, jednakże czym one są? Czy możemy nazwać je tylko rzeczami? Czy może, jak to napisała Sylvia Plath: „Oko małego, czworokątnego boga”? Lustra pokazują nam prawdę, nieważne, czy jest ona okrutna i bezlitosna, czy może piękna i kolorowa. Zawsze będzie to prawda, którą pokażą nam tylko one. Ciekawe jest to, że lustra nie mówią, a przekazują tak wiele.

Są nieme. Jednak to, co nam pokazują, warte jest więcej niż tysiące słów.

Ciekawym zjawiskiem są lustra weneckie. Pozwalają nam one odgrodzić się i obserwować innych z ukrycia. Człowiek może być lustrem weneckim, zależy, po której stoi stronie. Często robimy tak, że przed niektórymi ludźmi pokazujemy więcej naszych niedoskonałości, a przed innymi najzwyczajniej w świecie chcemy je ukryć. Dostosowanie do grupy,

jest dla nas niezwykle ważne, bo ludzie to istoty społeczne.

Potrzebujemy siebie nawzajem do normalnego funkcjonowania. Dlatego właśnie stawiamy lustra, aby być jak odbicie kogoś, kogo potrzebujemy.

„Oczy kochającej osoby, to lustro w którym odbijają się nasze zalety” pisze Halina Poświatowska. Kiedy patrzymy w czyjeś oczy, faktycznie możemy zobaczyć nasze odbicie, jednakże czy są w nich widoczne nasze zalety? Czy oznacza to, że w oczach osoby która nas nienawidzi są nasze wady? W słowach Haliny Poświatowskiej na pewno jest wiele prawdy, zależy to oczywiście od interpretacji. Gdy ktoś nas kocha, niewątpliwie zna nasze zalety, ale pokazuje nam także nasze niedoskonałości które cierpliwie znosi. Tak więc w oczach kochającej osoby możemy znaleźć nie tylko zalety, ale także wady, które są nieodzowną częścią człowieka.

Lustra. Gdzie jeszcze możemy zobaczyć nasze odbicia? Otóż jest takie przysłowie: „Jaka matka taka córka”. Ma ono w sobie więcej prawdy, niżeli na początku przypuszczałam. Dzieci są odbiciem wartości, które przekazywali im rodzice. Będą zachowywać się tak, jak je wychowano.

One odzwierciedlają to, czego nauczyły się od ludzi ich otaczających. Nie mówię tu tylko o rodzicach czy rodzeństwie, ale także o nauczycielach, starszych kolegach i koleżankach. To my tworzymy odbicie dziecka, które potrzebuje kogoś naśladować, bo samo jeszcze nie umie sobie radzić i tak jak lustro powtarza po nas każdy ruch.

Niejednokrotnie w literaturze spotkałam się z motywem równoległego świata i alter ego głównego bohatera. Zazwyczaj postacie te walczyły ze sobą. Dlaczego? Otóż w lustrzanych światach wszystko jest na odwrót. Nie tylko prawa jest lewa, a lewa jest prawa. Odwrócone zostały tam też

cechy i zazwyczaj pojęcie dobra i zła. Patrząc w lustro, czasem możemy zastanawiać się jakimi bylibyśmy ludźmi, gdybyśmy urodzili się gdzieś indziej. Może nawet w równoległym świecie? Myślimy, jacy chcielibyśmy być, a nie co moglibyśmy zrobić, żeby takimi się stać. Lustro może pomóc nam zobaczyć siebie, a nie zrozumieć. Osoby powierzchowne na próżno starają się odnaleźć siebie w swoim wyglądzie, ponieważ to nie on czyni z nas człowieka, a to, kim jesteśmy w środku.

„Ludzki umysł jest jak lustro, nie wybiera przedmiotów które odbija, obejmuje wszystko” – Jacek Ponikiewski. Nie możemy sami siebie zaplanować. Niektóre nasze zachowania są poza naszą kontrolą i nieważ-

ne co zrobimy, nie możemy ich zmienić. Nie da się wybrać tylko tych dobrych cech i umieścić w jednym, idealnym ciele. Każdy człowiek ma wady, ale to od niego zależy, co z nimi robi. Niektórzy nie potrafią się pogodzić z faktem, że lustro pokazuje im ich niedoskonałości. Patrzą na siebie z perspektywy dużo surowszej niż otoczenie czy nawet milczące lustro.

Człowiek może odbijać się w jednym lustrze, lub w tysiącach luster. Każde zwierciadło w którym się przeglądamy może być tym, które pomoże nam zrozumieć jak wspaniali jesteśmy, niezależnie od naszych wad. Ważne jest to, aby każdy potrafił w umiarkowany sposób patrzeć w lustro. Nie tylko na swoją sylwetkę czy ubrania, ale na naszą twarz i oczy, w których będziemy mogli znaleźć siebie.

Julia Wolińska /Olsztyn/ Piękno zamknięte w słoiczku

Przywykłam już aby czynić wysiłek. Objawia się on każdego dnia, kiedy to wstaję do lustra ciągnięta przez mitrzący czas rytuał, a może nieustającą ciekawość. Tylko patrząc, co znaczy – przekonywać się osobiście, miast wierzyć słowom innych – mogę sprawdzić czy w ciągu nocy nie doszło do przeistoczenia. Wszelka stałość ma niezwykle właściwości uspokajające. Podstępna w swoich pozorach, poluzowuje wbijającą się uzdę myślenia.

Kremy wklepuję metodycznie, dzięki opracowanemu systemowi obronnemu. Nie zastanawiam się nadto co robię z lepką mazią ani nie przywołuję w pamięci skóry z dnia sięgającego dalej niż poprzedni. Zaczyna się od dłoni – to one obejmują owal nagiej twarzy. Grunt zdaje się pulchnieć od wilgoci niczym żyzna, czarna ziemia. W ruch wprawione jest każde ziarenko piasku niesione z kroplą wody przez mrówki. Jeszcze chwila i poddadzą się stopieniu. Moment, a zastygną w swoich korowodach.

Czego oczekiwały Egipcjanki kupujące, niby jako dodatek do cienkiej tkaniny, pierwsze wytworzone kremy? Wiemy z historii, że znalazły zastosowanie nie tylko w ochronie przed promieniowaniem, ale też w różnicowaniu stanu społecznego wyznaczonego przez błądź. Słońce mogło palić jedynie niewolnice. Cerę rozjaśniła domieszka proszku z białej ochry. Jednak wiele wskazuje na to, że podobnie do nas żywiły nadzieję na głębsze przemiany. Zabrały ją aż do grobowca. W znalezionych pojemniczkach miód, воск i oliwa z oliwek, i cyprys – miały przywracać młodość.

Powszechnie znane popiersie Nefretete wciąż mieni się blaskiem, z wyższością typiąc jednym okiem. Królowa ma wydłużoną czepcem głowę, usta ułożone w półuśmiechu i mięśnie szyi jak napięty pomost przytwierdzony przez Totmesa do skały. Artysta celowo wyżyłbił w wapiennym rdzeniu zmarszczki, by następnie złagodzić je warstwą gipsu. Dla tej, o której mówiło się: rezyduje Ona w świątyni Tarczy Słonecznej w Heliopolis Południowym przeznaczono ciemne, bezksiężycowe pomieszczenie. Mimo to, rzeźba wprawia w zakłopotane. Jeśli oglądający podchodzą z dużą dozą rezerwy do gadki przewodników, nie dadzą sobie wmówić, że wierzchnia powłoka maskuje prawdziwą twarz władczyni. Dostrzegam w tym kulawe pocieszenie wobec świadomości własnej marności.

Nocą przypominamy sobie o gwiazdach. Podziwiamy je z kuchennego okna i stwierdzamy z dumą, że jesteśmy częścią tego samego świata. Choć tak odległe, są jak plamki na skorupce jajka, w którym rytmicznie kołysz się figurka ludzka. Ową fascynację, zresztą nie dłuższą od wszystkich chwil wtajemniczenia, stłumia pierzyna świtu. Trzy razy wyrzeklibyśmy się natury widząc swoje dalekie, lecz przerażająco bliskie po zestawieniu z gwiazdami odbicie.

Skóra to zbyt delikatny twór. Służy za pancerz, ale jej cienkość porównuje się do liścia. Szczypie przy niskiej temperaturze, różowieje ze wstydu, łuszczy się sucha lub przegrzana. Najbardziej zewnętrzna warstwa, odczytywana powierzchownie. Wzrok przesuwają się po nieboskich ściągnięciach, porach i nierównościach, które zdrowo byłoby zignorować, gdyby nie okrutny żal. Moja jedyna zbroja zużywa się, a nie podlega wymianie.

Powstał interes zbudowany na walce. Do słownictwa weszła ofensywa: walczyć z przesuszeniem, rozprawić się z bliźniami, pokonać trądzik. Trudno dziwić się producentom wykorzystującym korzystną sytuację. Profuzja kosmetyków na półkach przywodzi mi na myśl akcję ratowania mozaik w Mont Sainte-Odile. Nie zgadzają się zaledwie szczegółów – grabieżcy płacą za wydlubane elementy, które natychmiast są zastępowane nowymi. Oto dowód ludzkiej zdolności do kreowania zarówno broni, jak i samego wroga.

Wszystko tak obiecujące i upajające wonią działa kojąco na umysł. Ten okazuje się ogromnie wrażliwy na siłę sugestii (żeby nie powiedzieć naiwny). Jeśli istnieje sprawiedliwość wyrażona w nagradzaniu za działanie, ulgę przynosi świadomość dbania o swoje ciało, co pośrednio oznacza pielęgnowanie duszy. W oczekiwaniu na dzień, w którym starania

przekują się w wymagania, za pożywkę służą nadinterpretowane obserwacje. Nie chcemy już rodzić się z piany, wszakże pędzenie żywota przypadło nam na epokę wiary w innowacje i własną skuteczność. Na ostodę dostrzegalne efekty. Tak, to chyba one.

Pośród wieżowców i galerii, w ruinach kompleksu świątynnego na cześć boga wojny Marsa ukryła się sześciocentymetrowa puszka z cyny. Wykopalisko zaskoczyło londyńskich archeologów. Nie chodziło bynajmniej o pojemnik z tak wówczas cennego metalu, a o jego zawartość. Pod idealnie przystającą, wodoszczelną pokrywką krem, ale co za krem! Liczący prawie dwa tysiące lat, w stanie pozwalającym stwierdzić, że wyzwolił się z ram swojego czasu. I jeszcze jedno, co rozplomieniło mnie najbardziej, odkryto go z wciąż widocznymi odciskami palców. Tworzę w myślach historię kobiety zanurzającej subtelnie opuszki najpierw w pozostałościach na wieczku. Czuję z nią jedność.

Zdziwiłby się ówczesny lekarz Galen, w chwilach komponowania receptury wsłuchany w intuicję oraz echo śpiewu ptaków. Po osiągnięciu, jakim była formuła zapobiegająca rozwarstwianiu się tłuszczu i wody, niewiele się zmieniło. Syntetyczność, zanadto jałowa i oderwana od rzeczywistości, traci na wartości. Z niejaką satysfakcją odnotowuję odgrzebywanie świata roślinnego, choćby niepełne, bo ze źródłem leżącym w egoistycznych pobudkach, z drugiej strony – dla wyższej wartości.

Siłę do poprawiania krzywizn, zrogowaceń tudzież wypaczeń bezsprzecznie daje miłość do piękna. Panuje przyzwolenie na sprasowywanie go z pojęciem doskonałości, nijak mającej się do człowieka i złudnej w sztuce. Od zewnętrznej szlachetności wyżej o całe niebo stawiam żywą relację, która drżeniem przenika między obiektem a odbiorcą. Nawet czerwona róża, uznawana za symbol piękna, byłaby zimna i obojętna bez filtru subiektywności. Sprawiedliwie należy dodać, że optyka różni się w zależności od okoliczności.

Zmieniające się kanony urody widzę w formie uli, katedr czy łódek. Robotą głupca byłoby szukanie wspólnego mianownika, z jednym wyjątkiem. Cera, niczym przygładzony z dbałością materiał, to baza dla całej reszty, najistotniejszy element wyglądu w kulturze europejskiej. Niemożliwe jest podrobienie jej miękkości – struktura wiąże naraz energię i zdrowie, dotyk uwalnia spragnione dzwonce i fanie. Osiągnąwszy ustalony ideał, chciałabym zachować go na wieczność.

Na przeszrodzie stoi starość, integralna część natury. Przekleństwo jest ta, która w swej apodyktyczności ustala reguły. Odmówiła, żebyśmy składali się ze skaleni i kwarcu – wyższą wytrzymałością cechują się

zwykłe zwierzeliny. Niewzruszenie trwa jedynie przemijający czas, który człowiek próbuje zatrzymać w dziełach sztuki, zanim sam się ulotni.

Jakub Zabielný /Będzin/ Pusta i pełna

Hej, zanim się Wam przedstawię, wymienię dwa przymiotniki opisujące moje życie.

Brzmią one tak – pusta i pełna. Chyba domyślicie się kim jestem? Jestem lodówką. Niektórzy mnie kochają, inni nienawidzą. Ale i tak dla wszystkich jestem taka sama, a w życiu mam jedno najważniejsze zadanie, ciągle i ciągle chłodzić oraz zamrażać. Chłodzić, zamrażać, chłodzić, zamrażać, chłodzić, zamrażać, chłdo...

Są tacy którzy mnie nie doceniają, a druga połowa populacji jest pod wielkim wrażeniem tego co dla nich robię. Chłódzę, zamrażam, chłódzę, zamrażam – aha... to już chyba mówiłam... Co we mnie jest? Wiele przysmaków albo napojów, na przykład koktajl truskawkowy, czy też soczek pomarańczowy schłodzony przez mamę dla swojej pociechy wracającej z długiej podróży.

Niektórzy ludzie są dla mnie bardzo okrutni. Razu pewnego jakaś kobieta kupiła przeterminowany jogurt, do tego otwarty. Stał on we mnie przez dwa tygodnie. Wyobrażacie sobie, co ja wtedy przeżywałam? Nie mogłam uwierzyć, że nadal żyję.

Jednym z bardziej stresujących momentów jest sytuacja, kiedy moi właściciele jadą do marketu. Znacie to? Chyba nie. To tam, gdzie „włączają niskie ceny”. Zawsze wtedy obawiam się, że coś zrobiłam źle, że chcą mnie wymienić. Ale gdy tylko wracają z pustymi rękoma, jestem w siódmym niebie. Co robię? Chłódzę, zamrażam, chłódzę, zamrażam...

Niektórzy myślą, że my – lodówki nie mamy uczuć. Błąd. Nie mówię Wam tego bez powodu, wiąże się to z moją kolejną historią. Pewnego dnia zostałam oddana do czteroosobowej rodziny. Mieszkali w pięknym apartamencie z wielkim ogrodem oraz basenem, mieli psa i własną służącą. Nie zmieniło to faktu, że była to bardzo dziwna rodzina...

Kiedyś w kuchni, podczas obiadu na stole znajdowało się dwa-dzieścia osiem potraw – ryby, kawior, pasty i wiele innych. Pachniało niesamowicie, ale OK – do rzeczy. W pewnym momencie doszło do kłótni między synem a ojcem. Pamiętam, było dosyć groźnie...

Nagle syn, chcąc wyciągnąć mrożoną herbatę podszedł do

mnie. Szkoda, że nie mogłam zamknąć mu drzwi przed nosem... Kopnął we mnie z całej siły, bolało okrutnie. Rozumiem – mam tylko chłodzić, zamrażać, chłodzić, zamrażać, chłodzić.... Przepraszam, nie chcę dalej opowiadać. Robi mi się naprawdę bardzo smutno.

No dobrze, niech będzie – ostatnia anegdotka. Na moich półkach goszczą potrawy z czterech stron świata. W jednym tygodniu znajdowało się we mnie nieraz pięć potraw z różnych kontynentów. Burżuazja w czystej postaci. Nie liczą, ile zjedzą. Wyrzucają, nie szanują, a ja tymczasem... chłódzę, zamrażam, chłódzę...

Powoli będę się z Wami żegnała. Pamiętajcie – szanujemy Wasze potrawy, szanujcie i Wy nas. Pozdrawiam – Łódówka.

Monika Zawistowska /Brzeg/ Warszawa

Jadąc do stolicy w zasadzie nie wiedziałam co zobaczę. Myślałam, że jedyne czego mogę się spodziewać to tłok, morze ludzi, odór spalin, być może nieprzyjazne spojrzenia rzucone w moją stronę. Ten wyjazd jest ważny nie tylko dla mnie, ale także dla osób podróżujących ze mną. W końcu jako harcerze tak wiele uczymy się historii, która nieodłącznie związana jest z tym miastem. Będziemy mogli ją zobaczyć, poczuć, dotknąć.

Skupiam się na podróży pociągiem. Podziwiam zapierające dech w piersiach piękno mijanych pól, lasów, miejscowości. Imponują mi zarówno okazałe dworce z XIX w, jak i obłoki piętrzące się w górę jakby do samych niebios. Przywołują na myśl podróże z dzieciństwa, kiedy uciechę dawało mi wystawienie ręki przez okno pociągu. Mój zachwyt przerywają jednak dochodzące z każdej strony rozmowy. Pomimo iż jadę większą grupą, mam wrażenie, że nieliczni dostrzegają to piękno. Dlaczego tak niewiele osób potrafi doceniać urok prostych rzeczy? Na chwilę odrywam się od moich rozmyślań i prowadzę wesołą konwersację. Uśmiechnięte twarze i beztroska panujące wokół mnie sprawiają, że podróż jest bardzo przyjemna.

Docieramy na miejsce. Od razu uderza mnie skwar panujący na zewnątrz i tłum ludzi na chodnikach. Warszawa robi ogromne wrażenie. Wysokie smukłe budynki górują nad szerokimi wielopasmowymi ulicami. Zadbane place i skwery cieszą oko. Kierowcy śpieszą się, jakby wszyscy właśnie zapomnieli o ważnym spotkaniu, na które muszą w mgnieniu oka dotrzeć, a tramwaje też jakby w pośpiechu suną po torach. Jednak wzrok

najbardziej przykuwa majestatyczny, wyróżniający się, a jednocześnie tak bardzo wpasowany w ten wielkomięjski krajobraz Pałac Kultury i Nauki. Zdecydowanie dominuje nad resztą miasta i robi piorunujące wrażenie. Zaprojektował go Lew Rudniew. Budynek ma 237m wysokości i jest najwyższy w Polsce. Pomimo iż ma 42 piętra, wydaje się o wiele wyższy. Patrząc na niego, odnoszę wrażenie, że gdyby akurat teraz leciał nad nami samolot, zahaczyłby o szczyt wieżowca.

Pieszko docieramy do miejsca noclegu. W przyjaznej atmosferze przygotowujemy niczym nektar bogów pyszny posiłek. Wieczorne pogawędki umilają czas, jednak zmęczenie wygrywa z moim organizmem i zapadam w sen.

Podróż tramwajem na Cmentarz Wojenny na Powązkach sprawia, że jestem w melancholijnym nastroju. Cmentarz ten ma ponad 23 ha, a założony został w 1912 r. Spoczywają na nim zarówno znani polscy poeci, śpiewacy, aktorzy jak i bohaterowie wojenni. Charakteryzuje się nagrobkami oznaczonymi brzoźowymi krzyżami.

Tak jak się spodziewałam, w tramwaju napotykam wiele nieprzyjaznych spojrzeń, są jednak i życzliwe. Uważnie obserwuję ludzi znajdujących się wokół mnie. Im bardziej się przypatruję, tym więcej różnic dostrzegam. To wspaniałe, że każdy jest inny. Wyróżnia go ubiór, kolor włosów czy skóry lub sposób bycia albo wiara. I dzięki temu jesteśmy wyjątkowi. Dołujące jest to, że nie wszyscy akceptują taki stan rzeczy. Wiele jest ludzi nietolerancyjnych, którym zawsze się coś nie podoba.

Wysiadamy. Do cmentarza zostaje zaledwie kilka kroków. Wszystkie rozmowy nagle cichną. Wchodząc na cmentarz, od razu staje się poważna. Zdaję sobie sprawę z tego, ile ważnych osobistości, ilu bohaterów tutaj spoczywa. Przecież należy im się szacunek.

Idziemy główną aleją. Nasz cel od początku jest znany. Podążamy zwłaszcza ku nagrobkom Rudego, Alka i Zośki – bohaterów „Kamieni na szaniec”, ale i żeby zobaczyć groby Moro i Bonawentury. Na cmentarzu panuje błogi spokój. Tylko świergoczące ptaki nie boją się go zakłócić. Fruwają nad naszymi głowami nucąc wesołe melodie i zapewne umilając wieczny sen. Rozglądam się wokoło. Po obu stronach głównej alei, w równych rzędach poustawiane są nagrobki lub krzyże. Miejscami po kilkadziesiąt identycznych, a gdzieś indziej inne. Są rozmieszczane tak równo, że przywodzą mi na myśl żołnierzy stojących w szeregu. Na miejscu spoczynku poległych padają złociste promienie słońca, które dodają powagi i uroku. Wydaje mi się, że nawet ptaki do tej pory tak wesołe, popadają w zadumę. Odmawiamy modlitwę i zapalamy znicz. Przez moment czuję,

jakby świat stanął w miejscu. Jednak po chwili wszystko wraca do normy. Znow słyhać między gałęziami trzepot skrzydeł. Powoli idę w stronę pozostałych brzozowych krzyży. Przechadzając się między nimi odczytuję nazwiska. Część z nich kojarzę z różnych opowieści, filmów oraz artykułów. Znaczna część jest mi jednak nieznaną. To skłania mnie do refleksji. Przecież jest tak wielu bohaterów. Bohaterów, o których się uczy my. Bohaterów, o których nikt nie słyisał i prawdopodobnie nie usłyszy. Bohaterów, którzy zasłużyli się dla naszego kraju, dla nas. Czy można coś zrobić, żeby świat o nich usłyisał? Czy to w ogóle jest możliwe? Może po prostu nie chcemy poznać tych zapomnianych historii? Może to, co wiemy, wystarczy nam? Bo tak jest przecież wygodniej. Z tymi myślami przemierzam się dalej i zastanawiam się, kim byli ludzie, których groby właśnie widzę? Jaka była ich historia? Czego się bali, a z czego czerpali radość? W jakich okolicznościach opuścili ten świat? Mijam kolejne i kolejne miejsca spoczynku. Jedne mniej, inne bardziej zadbane. Na jednych pali się znicz, stoją kwiaty, a inne są zapomniane. Takie, na których ząb czasu odcisnął swoje piętno. Dopada mnie jeszcze większa melancholia. Zaczynam myśleć o swojej śmierci.

Musimy opuścić już to miejsce. Pogrążona w rozmyślaniach, podążam za kolegami z drużyny. Idąc główną aleją, mijamy grupkę turystów. Rozmawiają o tym, że takie miejsca są niepotrzebne, że i tak nikt tu nie przychodzi. Stanowczo nie zgadzam się z nimi, bo „zapominanie, to część procesu znikania” (Carlos Ruíz Zafón), a „najważniejsze we wspomnieniach jest to, żeby mieć się gdzie zatrzymać i tam wspominać” (Terry Pratchett).

NOWELE

... KONKRETU CODZIENNOŚCI INSPIROWANE-
WIERSZEM „PIEKŁO”

Zuzanna Bober /Nowy Wiśnicz/ O szarych domkach

Stefan Skotyszewski nigdy niczym się nie wyróżniał. Był człowiekiem wielce nudnym i oczywistym. Nawet ludzie, którzy go znali od niedawna mieli wrażenie, że potrafią z góry przewidzieć, co Stefan powie i co na dany temat będzie uważał. Nie pracował odkąd skończył trzydzieści lat, w bliżej nieznanym nikomu sposób posiadał niewielką fortunę, która wystarczyła mu do końca skromnego życia. W wieku sześćdziesięciu trzech lat i ośmiu miesięcy mieszkał wraz z żoną (kobietą równie oczywistą, jak on sam) w niewielkim, szarym domku z białymi frankami w każdym oknie, z zadbanym ogródkiem w którym rosły głównie herbaciane róże. Dom Skotyszewskich znajdował się na jednej z bezimiennych ulic, bezimiennego miasta, jakich wiele. Państwo Skotyszewscy wiodli życie tak przesiąknięte rutyną jak to tylko było możliwe.

Stefan wstawał zawsze o tej samej godzinie, jadł śniadanie składające się z kawy z mlekiem, dwóch jajek na miękko i połówki bułki z makiem posmarowanej dżemem jagodowym. Wychodził z domu wyjątknie o godzinie siódmej czterdzieści pięć, tylko po to by udać się do najbliższego kiosku i zakupić gazetę, którą delektował się następnie do godziny dwunastej w swoim ulubionym zielonym fotelu. Cały jego dzień był ścisłym i nie zmieniającym się planem do tego stopnia, że zdarzało mu się odczuwać irytację, gdy niespodziewanie rozwiązało mu się sznurowadło. Dzień pani Skotyszewskiej odbywał się wedle tego samego schematu, z jedyną tylko różnicą, że ta drobna kobieta staczała codziennie wielką, heroiczną bitwę o czystość niewielkiego, szarego domku i oddawała się swoim dwóm wielkim pasjom, zamiast siedzieć w fotelu z gazetą jak Stefan. Pierwszą wielką pasją Barbary Eleonory Skotyszewskiej było codzienne pranie, suszenie i wywieszanie firanek, które następnie krystalicznie białe wisiły w każdym możliwym miejscu. Było to dla niej pewnego rodzaju wielką świętością. Drugą wielką pasją było plewienie ogródka przed domem. Dni ich były cyklami powtarzającymi się z taką naturalnością jak fazy księżyca. Skotyszewscy kochali swoje życie.

Każdy człowiek jednak czasami kogoś zadziwia. Stefanowi swoją żonę udało się wprawić w ten szczególny stan dokładnie raz, po czterdziestu dwóch latach znajomości. Tego dnia, zaraz po obiedzie zamknął się w swoim pokoju, co nie zdarzało mu się nigdy. Pani Skotyszewskiej wydało się to tak oczywiście złowróżbne, że prawie chciała zadzwonić po karetkę i policję, a może i nawet po straż pożarną i pogotowie elektryczne. Jed-

nak, gdy pobladłej Barbarze udało się otworzyć drzwi (zapasową parą kluczy), zastała męża całego i zdrowego. Patrzył tylko nieco mętnymi oczami przez okno i stał plecami odwróconymi do żony. „Basiu, wiesz co? Chyba kupię sobie nowe auto. Będzie granatowe.”- powiedział jedynie Stefan i niczego więcej już nie tłumaczył żonie, którą te słowa tak bardzo zdziwiły, że gdy wyszła z pokoju nie potrafiła znaleźć ani jednej firanki do wyprania. Następnego wieczoru, pod małym, szarym domem Skołoszewskich, w ostatnich promieniach zachodzącego słońca błyszcząco już nowe, sportowe, granatowe auto. Stefan Skołoszewski, zgodnie ze swą „odwieczną ceremonią święta zachodzącego słońca”, przeżuwał suchą bułkę i popijał ją gorącym mlekiem. Jak zawsze siedział przy kuchennym stole na swoim ulubionym krześle, przy oknie, za którym od zawsze rósł bardzo ładny kasztan. Jak co wieczór oglądał, jak wiatr delikatnie powiewa liśćmi, a ostatnie promienie słońca jak koty leniwie wyciągają się w koronie drzewa. Wszystko było takie jak zwykle, ale mimo tego odczuwał obcy mu niepokój.

Z głębi domu usłyszał ostry, nieprzyjemny dźwięk, który zerwał go na nogi. Dzwonek do drzwi. Stefan po sekundzie stał pod drzwiami ogarnięty jakimś okrutnym zdziwieniem, które nie pozwalało mu wypowiedzieć ani słowa. Jego oczy sondowały niespokojnie stojącą w progu obcą kobietę. Nieznajoma dama miała włosy upięte w ciasny koczek, ostre, surowe rysy i stalowe oczy.

Stefanowi wyglądała na taką, co uważa gorący rosół za lekarstwo na każdą możliwą chorobę. Skołoszewscy mieszkali w małym, szarym domku już od ponad dwudziestu lat, ale kobieta przestawiła się jako Helena Pryszcz z domu z naprzeciwka i powiedziała, że przyszła poznać nowych sąsiadów. Helena Pryszcz bardzo spodobała się Stefanowi, a w każdym razie na tyle, by podać jej herbatę, której wyraźnie zaczęła się domagać, wepchnąwszy się do salonu. Skołoszewscy nie znali zupełnie innych ludzi z sąsiedztwa, ulicy czy sklepów. W ich dwóch kręgach codziennej rutyny nie było miejsca na zauważanie innych ludzi, a co dopiero ich poznawanie. Gdy Stefan wygrzebywał z szuflady niskiego stolika paczkę suchych ciastek z cynamonem, Helena Pryszcz krytycznym wzrokiem omiotła salon Skołoszewskich, a potem powiedziała: „Ma pan szczęście. Takie piękne auto. Ludzie tak mówią. Wszyscy. Ma pan szczęście”. A Stefan jej odpowiedział: „Możliwe”.

I to wszystko, co zapamiętał z tej wizyty.

Stefan nie mógł zasnąć. Przewracał się nerwowo z boku na bok. „Ludzie tak mówią” – brzęczało mu wciąż w głowie. Ludzie, ludzie, ludzie... A więc

istnieli inni ludzie! Stefanowi wydał się ten oczywisty fakt odkrywczy i zaskakujący. „No jasne że istnieli, ktoś musiał mi codziennie sprzedawać gazetę!” – pomyślał. To, że istnieli, nie ulegało wątpliwości. Rzeczą, która tak go zaskoczyła było to, że ci inni ludzie w jakikolwiek sposób mogli zauważać jego istnienie. Oprócz niedawno poznanej Heleny Prysycz, nie potrafił rozpoznać nikogo z ulicy, sąsiedztwa czy sklepu. Dotąd istniał tylko on i Basia. A i ich twarze ostatnio stały się jakby sobie obce. Stefan, przyglądając się żonie plewającej chwasty czy zawieszającej czyste, białe firanki, widział Basię sprzed dziesięciu czy dwudziestu lat. Nie dostrzegał pogłębiających się zmarszczek i siwiejących włosów. Nie wiedział nawet o bliźnie na jej policzku. Żona przyglądała się Stefanowi pochylonemu nad gazetą z tym samym, niewidzącym wzrokiem. Było to skutkiem tego, iż od lat oglądali to samo przedstawienie, dramat białych firanek, chwastów, gazety... i w pewnym momencie przestali zwracać uwagę na głównego aktora, nie dostrzegając zachodzących w nim zmian.

Stefan Skołyśzewski zrobił coś, czym zaskoczył samego siebie. Świadome przerwał odwieczny porządek codzienności. Była pierwsza w nocy, a on zamiast spać w miękkich odmetach swego łóżka stał przy otwartym oknie i drżał, choć była letnia ciepła noc. Wypatrywał się przez okno jak jakiś drapieżny ptak nocny. Chciał zobaczyć kogoś, byle kogo. Chciał zobaczyć prawdziwe życie.

W otwartym oknie domu naprzeciwko, w świetle lampy stała samotna dziewczyna. Stefan znalazł lornetkę. Dziewczyna płakała cicho do księżyca. Wychyliła się niebezpiecznie przez okno jakby liczyła, że księżyc może ją wciągnąć do siebie. Cofnęła się jednak w głąb pokoju, jeszcze bardziej smutna, raz jeszcze rozczarowana i światło zgasło. W oknie niżej staruszka czytała list. Po ulicy chodził, jak tygrys w klatce, jakiś młody człowiek. Ręce trzymał w kieszeniach, głowę spuszczoną miał nisko i chodził w tę i z powrotem, jakby zaczarowany w jakimś lunatycznym śnie. Buty rozchodziły mu się niemal na stopach, a gdy Stefan mu się lepiej przyjrzał, dostrzegł, że chłopak bardzo mocno zagryza wargi i drobny strumyczek krwi cieknie mu po brodzie. „Piekło, istne piekło” – pomyślał i zamknął okno jakby z obawą, by jakiś ognisty podmuch nie przedarł się do jego ułożonego świata. A potem niespodziewanie poczuł w sobie pustkę i rosnące uczucie żalu. Usiadł płacząc, choć nie wiedział nad czym. Następnego ranka miał cienie po oczami i wyglądał jak rozczochrany szop. Siedział, kiwając się nerwowo w swoim zielonym fotelu, zupełnie nie przejmując się śniadaniem. Wiedział, że nie płakał z powodu tamtych ludzi za oknem. Ich tak naprawdę nie traktował jak istoty ludz-

kie, lecz raczej jak jakieś paskudne przestawienie, które go nie bawiło. Po długim zastanawianiu się odkrył w sobie nie tylko pogardę, ale i zazdrość. A po jeszcze dłuższych rozmyślaniach zrozumiał czego im zazdrości. A zazdrościł im wszystkiego. Ci ludzie za oknem, wyraźnie nieszczęśliwi, mieli życie. Do nich należał świat, dla nich pachniały białe, dzikie kwiatki wokół jakiś odległych dróg i dla nich słodko, pachnący groszek rósł gdzieś koło mięty. Dla nich rumieniły się dzikie jabłka w ciemnej gęstwinie leśnej.

A on miał tylko swój szary, smutny domek, w którym nikt nigdy się nie śmiał i nie śpiewał. Miał tylko tyle, ile uwzględniał jego plan. Wydało mu się, iż zmarnował wiele lat swego życia, a przecież jeszcze wczoraj kochał to co robił. Miał wrażenie, że się obudził z długiego, szarego, lunatycznego snu. Zdawało mu się, że dokonał jakiegoś niesamowitego odkrycia, powtórnie się narodził.

Gdy następnego dnia do drzwi zadzwoniła Helena Pryszcz, w małym, szarym domku z radia ciekła muzyka, w salonie nie było zielonego fotela. Na stole w wazoniku wiły się dzikie, białe kwiatki

i pachniało rumieniącym się w piekarniku ciastem z jabłkami. Zmusili się oboje ze Stefanem na wymianę grzeczności i gdy Helena Pryszcz rozsiadła się w fotelu z filiżanką herbaty parzącej

jej palce, powiedziała: „Ma pan pecha. Takie piękne auto! Nowe! Jaki pech! Ludzie tak mówią”.

Na twarzy Stefana odmalowało się zdziwienie, co Helena Pryszcz szybko uchwyciła, gdy sondowała jego twarz. „A więc pan nic nie wie? Niewyobrażalne! Ma pan pecha! Ludzie tak mówią”. Zszokowany Stefan odparł jedynie „Możliwe” i wyszedł.

Na granatowym, wspaniałym aucie Stefana leżała drapieżna, zabłąkana smuga srebrzystego światła księżyca, którą czyjaś gniewna ręka wyryla gwóździem. Był to miły, ciepły wieczór z bursztynowym zachodem słońca, a powietrze spuchło od zapachu herbacianych róż z ogródka Basi. Stefan ze szklistymi oczami i umysłem płonącym gorączką podstarzałego człowieka, który stara się zmienić swoje życie, niewiele się przejął okaleczeniem auta, albo przynajmniej chciał w to wierzyć. Jakiś chłodny wiatr wiał pomiędzy kasztanami. Stefan wzdygnął się z zimna. Słodycz wieczoru wydała mu się nagle bardzo przelotna i już właściwie minęła. Słońce zachodziło krwawo, a w futrzanych zaroślach budziły się nocne bestie. Zamykały się drzwi dnia, a otwierała się brama na skraj nocy. On stał całkowicie sam otoczony gasnącym dniem i budzącą się nocą. Chłodny dreszcz przeszył jego serce. Wieczór. Zła pora – pora demonów.

Śniła mu się pierwotna puszcza. Tury i wilki, potężne drzewa. Dzikie zaro-

śła, czysta, chłodna woda. Taniec szamana, od którego zakręciło mu się w głowie. Polowanie. Ciepła krew.

A potem nagle, niespodziewanie wszystko stanęło w ogniu. Przemienęło to wszystko, a z popiołów zrodziło się złote miasto. Wspaniałe budynki o wieżach strzelających pod same niebo porośnięte dzikimi, białymi, drobnymi kwiatami. Kobieta podobna do Basi, odrywała je jeden po drugim z dużą zaciekłością i rzucała na wielki stos. Potem zapaliła wonne kadzidło pod swym domem i poszła na targ kwiatów. Wróciła z koszami krzaczków herbacianych róż i pochodnią ognia ze świątyni. Podpaliła stos matych, białych, dzikich kwiatów świętym ogniem.

Stefana obudziło wrażenie, że ktoś mu się przypatruje, ale była to tylko błąda, nieprzenikniona twarz księżycza za oknem. Obszedł cały swój dom. Uświadomił sobie, że nienawidzi miejsca, które przez tyle lat kochał. „Czyj jest ten dom? Bo chyba nie mój” – pomyślał. Poczł się niezwykle samotny, a Basia wydała mu się bardzo daleka, niemal obca. Przecież nie mógł zmienić swego życia, nie zmieniając tego domu, który był sceną do trwającego przez tyle lat mętnego spektaklu o białych firankach, gazecie i zielonym fotelu... Wyszedł na podwórko i przejechał palcami po zarysowaniu swojego samochodu. Po drugiej stronie granatowe, wspaniałe auto wyglądało nadal jak nowe i dla kogoś, kto nie myślał o zarysowaniu, mogło ono przestać istnieć. No tak, kolejna rzecz niby ważna, ale w gruncie rzeczy bez znaczenia. Poczł się więźniem we własnym domu, zniewolonym przez to, co posiadał, przez wybory, jakich dokonywał będąc wolnym człowiekiem.

Upłynęły dwa tygodnie. Stefan wracał właśnie z teatru wraz z niezadowoloną z wyjścia Basią. Przed ich domem stały dwa wozy pożarne, a na ulicy, jak hieny nad truchłem, stali zaciekawieni sąsiedzi. Zwykły, szary dom Skołyśzewskich trawił płomienie, a ich mały świat tonął w kłębach szarego, gorzkiego dymu. Później jeden ze strażaków powiedział tylko: „Żelazko”, a zrozpaczona Basia nie mogła odnaleźć ani jednego spopielnionego strzępka białej firanki czy herbacianej róży. Z tłumu zgromadzonych sąsiadów podeszła do Stefana jedynie Helena Pryszcz i powiedziała: „O Boże! Ale pan ma pecha! Ludzie tak mówią. To był taki ładny dom. Nawet to piękne auto spalone!”. Faktycznie dzisiaj Stefan wyjątkowo zostawił je w garażu. „Straszliwy pech! Ludzie tak mówią”. „Możliwe” – odparł Stefan, a Helenę Pryszcz zdziwiło, że kur nie zapiał. Stefan Skołyśzewski poczuł się tak jakby ktoś rozkuł łańcuchy krępujące mu nogi. „Czasami trzeba wszystko stracić, żeby zyskać życie, nieważne ile go zostało” – pomyślał. Wyjął z butonierki ostatnią herbacianą różę i podpalił zapalniczką, potem

rzucił na drogę, a następnie zastąpił ją małym, białym, dzikim kwiatkiem rosnącym koło rowu.

Emilia Duszeńko /Brzeg/ Pióro z grawerem

Pan Henryk mieszkał w małym miasteczku przy czeskiej granicy. Był średniego wzrostu siwiejącym już mężczyzną. Ludzie uważali go za dziwaka, bo rzadko wychodził z domu. Jak to ludzie: jedni mówili, że jest wyznawcą szatana i codziennie z nim rozmawia, inni zaś, że całe dnie siedzi, wpatrując się w puste ściany. Ale jaka była prawda?

Po mieszkaniu rozeszło się głośnie skrzywienie paneli, po czym w głównym pomieszczeniu pojawił się mężczyzna. Wygodnie usiadł na krześle przy swoim biurku, i jak to miał w zwyczaju, z górnej szuflady wyciągnął granatowe, połyskujące pióro z wygrawerowanymi inicjałami „H.N.” – Henryk Nowak. Ostrożnie położył je na blacie biurka i z następnej szuflady wyciągnął plik kartek. Równy ułożył je obok pióra i cicho westchnął. Kiedy „bazgrał” coś po kartce, usłyszał pukanie do drzwi. Wstał i pospiesznie je otworzył. Stała w nich około pięćdziesięciopięcioletnia kobieta, pani Katarzyna. Sąsiadka często odwiedzała pana Henryka, by nie czuł się tak bardzo samotny. Jego zmarła żona też lubiła tę kobietę, były przyjaciółkami. Mężczyzna chętnie zaprosił panią Kasię do środka i zaproponował malinową herbatę. Sześćdziesięciolatek pamiętał, że kobieta pije herbatę bez cukru. Podając szklanke, szybko odwrócił się i wsunął swoje zapiski do szuflady. Nie zdążył jednak schować pióra, na które sąsiadka od razu zwróciła uwagę.

– Jakie piękne pióro! – wykrzyknęła z zachwytem. – Skąd je masz? – dopytywała.

– Dostałem od mojej żony na urodziny – odparł pan Henryk.

– Ty piszesz? – zapytała pani Kasia, która co nieco wiedziała o zamiłowaniu sąsiada do pisania. Niedługo powiedziała jej o tym Krystyna.

– Tak tylko wspominam, bo dziś jest pierwsza rocznica śmierci mojej Krysi – z zalem odpowiedział pan Henryk.

– Tak, wiem – ze łzami w oczach dodała pani Kasia.

Chyba tylko w jej towarzystwie nasz bohater czuł się nieskrępowany. Wiedział, że więcej nie będzie zadawała zbędnych pytań. Pani Kasia była chyba jedyną osobą, z którą mógł normalnie porozmawiać, która nie oceniała go tak jak inni, która zawsze śmiała się z jego żartów (choć już je

wszystkie znała). Po prostu czuł się przy niej swobodnie. Często razem dyskutowali, popijając herbatę.

Dochodziła już godzina siedemnasta, a jak wiadomo zimą o tej porze jest już dość ciemno, dlatego też mężczyzna zapalił lampkę. Pani Kasia mieszkała obok, wyszła więc na chwilę, aby przynieść świeżo upieczone ciasto z morelami. Potem jeszcze długo rozmawiali.

Kiedy pan Henryk został sam, ponownie wyjął kartki i swoje ulubione pióro – prezent urodzinowy od żony. Zamyślił się, ale już po chwili zaczął pisać.

Pan Henryk był znakomitym pisarzem, niestety uparcie ukrywał przed otoczeniem swoje dzieła. Była to jego tajemnica. Bał się, że jeśli ludzie oceniają go za to, że nie wychodzi z domu, mają go za dziwaka, któremu po śmierci żony pomieszało się w głowie, to nie będą potrafili obiektywnie spojrzeć na jego dzieła. Zazwyczaj pisał melodramaty, ale też powieści romantyczne. Zdarzyło się nawet parę kryminałów. Żona zawsze go wspierała i motywowała. Teraz był zdany tylko na siebie. Od roku nieprzerwanie pisał jedną książkę, której nadał tytuł „Historia pewnej miłości”. Pojawiły się w niej wątki mówiące o spotkaniu niezemskiej istoty – pozornie cichej, uroczej blondynki, przez wyznanie miłości aż do strasznej śmierci. Sześćdziesięciolatek był bardzo zaangażowany. Płynnie spisywał swoje przemyślenia, kiedy nagle poczuł silny ból głowy. Powoli odłożył drogie pióro i położył się. Od jakiegoś już czasu miewał takie ataki, ale nie chciał pójść do lekarza. Nie powiedział o tym nawet swojej sąsiadce. Te stopy kartek dla innych zapewne byłyby jedynie makulaturą, ale dla niego stanowiły ogromną wartość. Nie wyobrażał sobie, że może nie zdążyć napisać tej książki, która tak naprawdę była przecież historią jego miłości, że nie da rady kreślić znaków na potarganych i zmęczonych już życiem kartkach. Powoli zaczął uświadamiać sobie, że przecież człowiek jednego dnia cieszy się życiem, a następnego może go już nie być. Tak po prostu, bo jak zaniedbasz zdrowie, to je stracisz. U jego żony też zaczęło się niewinnie: ból głowy, wymioty, gorączka... i zaraz potem diagnoza lekarzy, która była wyrokiem – białaczka. Przecież Krysia zawsze była okazem zdrowia... To właśnie przed śmiercią ofiarowała mu prezent – wspaniałe granatowe pióro i nakazała, aby nie przestawał pisać. Zmęczony, obolały i zaniepokojony nieustającym bólem głowy pan Henryk pisze więc jak najwięcej, jak najszybciej, aby... zdążyć.

Tego dnia pan Henryk i pani Kasia długo rozmawiali na różne tematy. Opowiadali sobie historie z młodości, żartowali i głośno się śmiali. Sąsiadka zastanawiał się, co się stało, że Henryk jest taki radosny, spokojny.

- Dobrze się czujesz? – zapytała z troskliwością.
- Oczywiście, że dobrze, co za pytanie.
- Bo widzisz, jesteś jakiś inny. Chyba pierwszy raz po śmierci żony tak się zachowujesz – kontynuowała temat.
- Wszystko w porządku, nie martw się. Wiem, obiecałeś Krysi, że będziesz miała na mnie oko, że nie pozwolisz, abym się zamartwiał, że...
- Tak, Henryku. Czy na pewno nic ci nie jest? – dopytywała pani Kasia. – Mogłabym cię jeszcze o coś zapytać?
- Oczywiście – odparł mężczyzna. – Pytaj, o co chcesz.
- Co to za kartki, które tak chowasz w swoim biurku? I dlaczego to pióro przez cały czas tu leży?
- Widzisz, to pióro jest jedyną pamiątką po mojej ukochanej, za którą bardzo tęsknię – wyszeptał Henryk. A kartki, hmm, no cóż...
- Pani Kasia dostrzegła zmieszanie sąsiada, dlatego też szybko zmieniła temat.
- Dzisiaj taki ładny dzień, może wyjdziemy na spacer? – zapytała.
- Masz na myśli wizytę na cmentarzu? – domyślił się mężczyzna.
- Możemy przecież odwiedzić Krysię.

Na cmentarzu słychać było śpiew ptaków i szum drzew. Pan Henryk z kieszeni płaszczka wyjął granatowe pióro i położył je na grobie. Pani Kasia zaniemówiła, ale pomyślała, że to ważne dla mężczyzny i o nic nie pytała. Wieczorem sześćdziesięciolatek wyjął z szuflady gotowy plik zapisanych kartek. Powieść była skończona. Opowiadała o miłości do Krysi, o pracy na morzu, z której mężczyzna musiał zrezygnować z powodu śmierci żony i o starości. O tym, jak został sam, mając tylko swoją drogą przyjaciółkę Kasię. Dumny z siebie odłożył kartki na półkę. Ból głowy nie ustawał, więc mężczyzna udał się do kuchni. Trzęsącymi się rękoma wyciągnął z szafki szklankę, nalał do niej wody i wziął tabletkę przeciwbólową. Po godzinie ból jeszcze się nasilił. Ponadto pojawiły się gorączka, brak czucia w rękach, halucynacje. Mężczyzna słyszał głos swojej żony, która coś szepotała. Dziękowała za wspianą powieść, za to, że ofiarował jej swe pióro, które jak widać miało wielką moc.

Nasilający się ból nie dawał spokoju, nie odpuszczał ani na chwilę. Pan Henryk jakby tracił świadomość. Nie miał siły, aby zawołać o pomoc. Chciał podzielić się swoją tajemnicą pisarską z sąsiadką, ale było już chyba za późno. Umówieni byli za godzinę. Oczywiście mężczyźni zaczęli się zamykać, słyszał dziwny świst wiatru, choć na dworze było bezwietrznie. Nie było już nic poza ciemnością, ciszą i zimnem.

Po godzinie słychać było pukanie do drzwi, lecz nikt ich nie otworzył. Pani

Kasia zdziwiła się i zaniepokoiła. Pociągnęła za klamkę i drzwi otworzyły się. Weszła do środka, pytając czy ktoś jest w domu, lecz odpowiadała jej głucha cisza przerywana tykaniem zegara. Wchodząc do pokoju, spostrzegła sylwetkę mężczyzny leżącego na łóżku. Podeszła do niego, ale ten się nie poruszył. Jego klatka piersiowa również nie pracowała. Usta były sine, a od ciała biło zimno. Umarł – pomyślała i od razu do jej oczu napłynęły łzy. Nie czekając ani chwili dłużej, zadzwoniła po pomoc. Lekarze stwierdzili zgon. Zrozpaczona Katarzyna zauważyła leżące na półce zapisane kartki papieru. Wzięła je i zaczęła czytać. Ta lektura pochłonęła ją bez reszty.

Od dawna domyślała się prawdy. Prawdy o pisaniu i o śmiertelnej chorobie sąsiada. Nie mogła zrozumieć tylko jednej rzeczy, skąd na biurku mężczyzny pojawiło się granatowe pióro? Przecież widziała, jak położył je na grobie żony?

Katarzyna zadzwoniła do swojego znajomego wydawcy. Poinformowała o wspaniałej książce pt. „Historia pewnej miłości”. Wkrótce książka ukaże się. A pióro? Granatowe pióro z grawerem „H.N.” – prezent od żony, już zawsze będzie towarzyszyło panu Henrykowi w podróży w nieznaną. Nic nie dzieje się bez powodu.

Książka pana Henryka cieszyła się ogromnym zainteresowaniem. Była bestsellerem.

Angelika Kowalska /Włoszczowa/ Księżycowy chłópiec

Noc. Gęsta, ciemna i mroczna zdaje się być nieprzyjazna nawet dla zakonanych. Przekornie tylko oni zauważają specjalne cuda! Przede wszystkim z za chmur od czasu do czasu uśmiechnie się płocha gwiazdeczka, a księżyc – wcale nie tak bardzo zagniewany! – również podgląda młodych. Zdaje się im zazdrościć, ponieważ na niebie jest zawsze sam. Odbija światło ukochanej, sam nie mając cienia nadziei na spotkanie.

Zadziwia go, jak bardzo zakochani są ze sobą połączeni! Usta jednego stają się ustami drugiego. Dlatego tak łatwo do nich trafić, nawet w równie nieprzyjazną noc. Chłópiec i dziewczyna siedzą wśród osiedlowych ruin. Właściwie wszystko dookoła nie prezentuje się zbyt widowiskowo. Oboje mieszkają w małych pokojach, pamiętkach ustroju socjalistycznego. Każdy miał mieć dach nad głową. Dlaczego więc narzekają na takie lukusy...?

- Kiedy weźmiemy ślub, przeprowadzimy się do większego - mówi on.
- Będzie nam lepiej, zobaczysz, Alu...

Nagle dziewczyna odsuwa się, jakby rażona prądem. Jej twarz poważnieje, a oczy stają się ciemniejsze nawet od nocy.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Księżyc z ciekawością nadstawia ucha. Cóż może być ważniejszego od miłości?

Dla podobnego uczucia on sam poświęciłby życie, nawet wszechświat. Cóż to ma znaczyć? Równie pięknej więzi nic nie jest w stanie złamać. A jednak widzi kłótnię. Dziewczyna krzyczy, błaga, grozi, a chłopak... Stoi tylko z pochyloną głową. Na początku starał się jeszcze oponować, wyjaśniać. Teraz jednak jest mu wszystko jedno. Ze stalową miną zabiera kurtkę, ruszając w stronę tych maleńkich paczuszek zapalek, w których zwykli mieszkać ludzie. Jedyną oznaką zdenerwowania są lekko roztrzęsione dłonie.

Gdyby księżyc znał jego myśli, sam by się zaniepokoił. Alicja wyjeżdża! Nie chce sobie zmarnować życia nad Wisłą. To oczywiste, jest piękna. Zastępuje na lepszego, bogatszego męża niż ubogi malarz. Chłopak od razu rusza do piwnicy, targa za sobą stos niepotrzebnych nikomu innemu sprzętów. Musi się w jakiś sposób wyładować, musi! W innym razie na pewno zwariuje. Czy może sobie wyobrazić życie bez Alicji...?

Niezręcznie otwiera zacinający się zamek. Samo mieszkanie darzy największym wstrętem. Podobne milionom, traci wartość dla indywidualisty. Jakże bardzo chciałby się go pozbyć! Jednak wszystko na nic. To on, malarzyna, jest tu problemem. Tak mówiła Ala. Nigdy niczego nie zdobędzie. Urodził się i umrze sam, bez życiowych osiągnięć. Choćby i ukochanej...

Dlaczego by tego nie pospieszyć? - przebiega mu przez głowę. Niemal machinalnie odpowiada: nie. Czy jednak ktokolwiek zechciałby podobną niedojdę? Nawet zamek mu się sprzeciwia. Któż inny go zechce. Urodził się i umrze sam.

W pudle, prócz akwael i zestawu malarskiego, jest także sznur, używany latem jako huśtawki dla osiedlowych dzieciaków. Gdyby go tak zacześcić o lampę... Nadać nowe przeznaczenie... Hak zdaje się solidny.

Księżycowy Chłopiec z twardą determinacją poprawia węzeł. Jeszcze po raz ostatni upewnia się, że potężny sznur nie pęknie w trakcie.. Czego? Już nawet nie pamięta. Działa jak w gorączce, podstawiając do całej konstrukcji stołeczki. To ten taborecik kuchenny, na którym siadywała Alicja. Zawsze piła tylko herbatę, czarną, bez cukru. On znajdzie dla niego nową funkcję. Niepewnie staje na krzeselczku, ostrożnie balansując jak surfer

na desce. Podkłada głowę pod węzeł i... już!

Powinno trwać chwilę. A ciągnie się jakże długo! Światło księżycy padające zza okna zdaje się go otulać, mówić, że nie jest tak źle. Jednak Chłopiec czuje osłepiający ból. Mama, przedszkole, praca, dziewczyna... Jak ona miała na imię? Nic już nie jest sensowne. Czarne miesza się z białym, noc z dniem, życie ze śmiercią. Pozostaje jedynie ból. Tak osłepiający, że niemożliwy do powstrzymania.

Nie chodzi wcale o utratę powietrza. Jak można było zmarnować sobie tak dobre życie! Przecież wszystko jakoś by się poukładało. Na świecie jest blisko siedem miliardów ludzi, z czego połowę stanowią kobiety. Ach, Boże, ratuj! Przecież sąsiedzi muszą coś słyszeć! Niech ktoś wreszcie zauważy tragedię! „Przecież widzieli mnie ze sznurem. Ludzie, pomóżcie! Już nigdy więcej nie będę tak lekkomyślny... Poukładałam sobie życie. Będę pomagał ubogim, wyjadę na wolontariat, nauczę się zawodu. Tylko błagam, pomóżcie!”

Mija minuta, dwie, trzy. Nikt się nie pojawia.

Sąsiad na dole ogląda właśnie transmisję jakiegoś przedstawienia teatralnego. Młoda bogini śpiewa o agape. Wysoka i piękna, ubrana w powłóczyście białą szatę, sama przypomina anioła. Pod koniec arii jej głos staje się coraz delikatniejszy, wyższy... Niemalże nie do usłyszenia. Sąsiad oburzony odgłosami z mieszkania 23, brutalnie trzeszczy końcem od szczytki.

– Cicho mi tam! Ludzie chcą kulturalnie obejrzeć telewizję!

Na górze z kolei młoda kobieta tuli się do ramienia kochanka. Korzystając z okazji, że mąż wyjechał, mogą spędzić słodkie sam na sam. Leżąc w łóżku, opowiadają sobie piękne i zupełnie bezwartościowe słowa.

– Kochanie, boję się. Co tak hałasuje?

– To pewnie myszy, skarbie. Nie martw się, ja cię obronię – mówi szybko.

Nie chce, by wyszło na jaw, że nie pamięta jej imienia.

Tymczasem w mieszkaniu 23 walka już się skończyła. Księżycowy Chłopiec zdaje się być zawieszony w próżni. Ręce, które namalowały tyle portretów, nogi stworzone do biegania, stalowoniebieskie oczy i jedno tylko złamane serce. Zwisa smętnie, niczym niechciana marionetka.

Michał Matyszkiewicz /Dąbrowa Górnicza/ I-Phone

Ludzie, którzy codziennie przechodzili ulicą Długą – długą i z nazwy i faktycznie rozciągniętą jak guma do żucia przez całe miasteczko, niegdyś zapyziałe – dziś pretendujące do tytułu Gminy Roku, mogli zaobserwować, że niemal codziennie po południu zjawia się tu pewna dziewczyna. Zjawia się – to właściwe określenie. Nagle bowiem pojawiała się jak róża po burzy wśród bezkształtnego, szarego tłumu spieszącego do swych najważniejszych na świecie spraw, a później migotała jak kolorowy motyl to tu, to tam, wdzięcznie omijając przechodniów.

Uwagę wszystkich zwracała nie tylko uroda dziewczyny: długie, lśniąco blond włosy, które mogłyby być wizytówką renomowanych salonów fryzjerskich, szczupła talia, odwodząca podniebienia patrzących od kulinarnych pokus czyhających na witrynie pobliskiej cukierni, jak i w okienku odległego McDrive'a, czy nogi gazeli – nie dosyć, że szczupłe, to jeszcze wydłużone przez niebotycznie wysokie obcasy. O! Buty dziewczę miało zawsze „na topie”, zawsze „trendy” i nigdy nie „były jakieś chłam z targu”. Zarówno w butach, jak i w każdej części garderoby młodej panny ulokowany był kapitał pochodzący zaledwie z odsetek na koncie jej rodziców. Mama – kosmolog, służbowo uśmiechnięta i urocza w stosunku do każdej klientki, choćby po zabiegu miała mówić do własnego odbicia w lustrze: „Dzięki Ci, Boże, że nie stworzyłeś mnie takim pasztetem, fuj!”. Tato – mniej piękny niż mama, sięgający jej zaledwie do szyi (mama z ubolewaniem nie zakładała szpilek), przyjemnie pulchny (co niezmiernie drażniło mamę, która usiłowała przy każdej nadarżającej się okazji przekonać męża do dobrodziejstwa spożywanych alg), za to – pełną gębą – właściciel największej firmy transportowej w okolicy.

Młode dziewczę o wdzięcznym imieniu Anna bezustannie się spieszyło – a to na treningi, a to na jogę, kiedy indziej znowu na hiszpański (tato często wysyłał flotę do Hiszpanii). Jej szczupłe nogi na niebotycznych obcasach z gracją drobiły ulicą Długą. Cud, że nigdy nie wpadła w dziury studzienek kanalizacyjnych, nie potknęła się o nierówne płytki chodnikowe, nikomu nie nadepnęła na stopę, przygożdżając ją do trotuaru szpilką – jak igłą, i – że nie wypuściła z rąk swojego iPhone'a. Tak, iPhone'a... „najpotężniejsze urządzenie osobiste na świecie” było jej medium, łącznikiem z kilkoma podobnymi jej kolorowymi motylami, rodzicami, trenerami osobistymi, hiszpańskim native speakerem oraz z niedjakim Jackiem – dobrze zapowiadającym się biznesmenem w miasteczku.

Na iPhone'a dziewczyny cały czas przychodziły nowe wiadomości, powiadomienia i przypomnienia... Wypad z koleżankami na siłownię, plotki, kolejne zajęcia z hiszpańskiego, odwołana wizyta u kosmetyczki, czy prośby o rady od znajomych. Pytania, prośby, smutki, żale, euforia, radość, rozpacz – wszystkie te emocje skupiały się na kilku calach świecącego ekranu wyrażone w postaci emotek.

Srebrzysty iPhone z ugryzionym jabłuszkiem tykał emotki jak wieloryb plankton. Przechowywał w swym, naszpikowanym najnowocześnieszą technologią wnętrzu „ochy i achy”, randki z Jackiem, kłótnie z Jackiem, ceny biletów lotniczych, ubolewania nad niemodnym ubraniem koleżanki z klasy, obietnice, słowa, filmy, zdjęcia i wspomnienia...

Codzienną rutynę przerwało znajome zawibrowanie telefonu. Anna jak zwykle odruchowo sprawdziła wiadomość. To Jacek, proponując luksusowy pobyt na Bali w tegoroczne święta Bożego Narodzenia. W pierwszej chwili poczuła radość, ale potem przyszła niepewność... W te Święta? No ale co będzie z dziadkiem?

Nie musiała długo czekać na odpowiedź. Dla Jacka jak zwykle nie było problemu, przecież dziadek i tak nie rozumie, ale gdyby rozumiał, to na pewno sam wysłałby ją wraz z nim na piaszczyste plaże. Co tam Boże Narodzenie, jej rodzina nie jest raczej zbyt religijna, a zresztą, staruszek na pewno kilka tygodni bez niej wytrzyma...

Panna Anna roztrząsając propozycję Jacka przysiadła na ławce na skraju parku, gdzie kończy się ulica Długa. Słońce prześwitywało przez gęste listowie i obrzucało złotymi plamami srebrzystego iPhone'a... Dziewczyna zrobiła zdjęcie szczeniaku, który tuż pod jej nogi przywłókł ułamany badył. Za psem przybiegła dziewczynka ubrana w znoszony dres i uśmiechnęła się do Anny, za dziewczynką przyczłapała babcia, zasapana pogoniła wnuczkę do domu, bo powoli zbliżał się wieczór. A przecież czekało na nią jeszcze ciepłe kakao i bajka na dobranoc.

Panna Anna zawsze przysiadła na tej jednej ławce z obłazącą farbą, na skraju zielonego, pełnego życia parku, zanim wybierze się do wielkiego, cichego domu za parkiem, w którym nikt nikomu nie robi kakao, nie opowiada bajek, no i nikt tam oczywiście nie wie, czym jest Twitter, Facebook, selfie, emotki, czaty i cały Internet razem wzięty. Dla ludzi mieszkających w tym domu to tylko nic nie znaczące słowa, które – wypowiedziane – odbijałyby się echem po cichych korytarzach i milczących pokoikach ludzi, którzy żyją w innym wymiarze.

Kolorowy motyl pamięta, jak jakieś dwa lata temu rodzice nałożyli na nią obowiązek cotygodniowego odwiedzania dziadka przebywającego w

Domu Pomocy Społecznej... Bo przecież mają sami tyle obowiązków, tak mało czasu, przecież nie dadzą rady... Tak bardzo by chcieli, ale nie dadzą rady, a ktoś przecież musi, prawda?

Anna fruwała więc po szkole, a przed joga i lekcją hiszpańskiego do wielkiego, cichego budynku pełnego gasnących dusz. Jak na motyla przystało – przysiadła na chwilę na ławce, by nacieszyć oczy pięknem świata, by nie przytłoczyły ich bure kolory wielkiego, cichego budynku. Sama nie wiedziała, czy to co robi ma sens. Przecież człowiek, do którego przychodziła nigdy jej nie poznawał... Stale pytał o to, kim jest... Mówił na nią: „Zosieńka” a ona przestała już tłumaczyć, że nie jest zmarłą babcią, tylko wnuczką.

iPhone znów posłużył za łączność z ogólnoswiatową skarbnicą wiedzy – Wikipedia: Choroba Alzheimera (łac. morbus Alzheimer), AD (od ang. Alzheimer's disease) – najczęstsza postać otępienia, nieuleczalna i postępująca choroba neurodegeneracyjna, prowadząca do śmierci pacjenta”...

Tego dnia było inaczej. Kiedy Anna weszła do pokoju, w którym przebywał jej dziadek, zmarła... Staruszek siedział wyprostowany na łóżku, wyprostowany jak struna... jak żołnierz, którym kiedyś był. W rękach trzymał oprawione w ramkę zdjęcie zmarłej żony – Zosieńki, babci Anny, której ta nigdy nie poznała.

iPhone Anny zdrzął... Machinalnie odebrała wiadomość. To matka, chciała żeby w drodze z Domu Pomocy Społecznej wpaść jeszcze do wizażystki bo... Anna odłożyła telefon, nie zdążyła doczytać. Jej skupienie przerwały nagłe słowa dziadka:

– Co to? – Anna szokowała się, gdy dziadek zadał konkretne pytanie dotyczące realnego przedmiotu.

– To...To iPhone dziadku. Mój telefon. – dodała, widząc, że dziadek nie pojmuje jak coś, wielkości pudełka kredek może być telefonem.

– Telefon... – powtórzył dziadek.

– Tak..., powiedziała Anna. Ostrożnie usiadła na łóżku i nieśmiało odważyła się przemówić inaczej niż zazwyczaj do tego przebywającego w innym wymiarze człowieka...

– Pokażę Ci, dziadku, jaki jest fajny... O, zrobimy sobie selfie. To znaczy... To jest zdjęcie, poczekaj... Anna przytuliła się do dziadka i robiła zdjęcia: jedno, drugie, dziesiąte, z lampą, auto, bez lampy... Staruszek zamrugał oczami...

– Zdjęcie... – wyszeptał. Mam zdjęcie Zosi... Ty nie jesteś Zosia... Ty jesteś... Ania...

Anna siedziała jak zahipnotyzowana. I wtedy popłynęła dziwna opowieść:

o Zosi i jej długich warkoczach, o zabawach w podchody, chlebie z wodą i cukrem, o kolegach, którzy się nigdy nie zdradzali, a jeden wspierał drugiego w czasie wojny... Opowieść płynęła jak rzeka. Anna nie zwracała uwagi na znajome powiadomienia na iPhone. Nie to było najważniejsze. Słuchała teraz chciwie o stogach siana na wsi, w których drążone były tunele do zabawy w chowanego, i o prawdziwych okopach wojennych, o ogniskach nad rzeką i psie z urwanym uchem... Nagle do bólu zapragnęła znaleźć się w czasach, gdy wezwaniem do zabawy było zwykłe gwizdnięcie czy wesole zawołanie, a zdjęcia robił fotograf specjalnie sprowadzany z miasta...

Z potrzeby chwili Anna przytuliła się mocno do tego człowieka, który kiedyś żył pełnią życia, żył prawdziwie, śmiał się i kochał... Dziś pewnie wyśmiałby ją, gdyby zrozumiał, o co chodzi z tym wyjazdem na Bali, odtłuszczonym mlekiem i wizażystką... Z tymi emotkami i sztucznymi rajami Internetu...

Nagle starszek zasnął. Anna zerwała się na równe nogi i z płaczem pobiegła po pomoc. Na podłogę spadł jej iPhone, uderzając rogiem o ramę żelaznego łóżka.

Po godzinie było już wiadomo, że dziadek zapadł w śpiączkę, z której najprawdopodobniej nigdy się już nie wybudzi. Wezwani przez dyrektora Domu rodzice Anny omawiali niewesołą nowinę.

- No bo wiesz, kochanie, w końcu coś jesteście mu winni...
 - Stypa?
 - Nie! Żadnej stypy, będzie... będzie eleganckie przyjęcie!
 - Córciu, może Jacek by coś zorganizował?, Boże, a co z Twoim telefonem?!, I całe pięć tysięcy poszło w drzazgi! Może da się coś ocalić, co?!
- Anna milczała. Po dłuższej chwili spojrzała na rodziców i powiedziała:
- Tak, kartę. Mam na niej zdjęcia z dziadkiem. Tylko to chcę ocalić.

Aleksandra Orlikowska /Opole/ Ulica

Centrum miasta, mozaika twarzy. Mówią, że miasta zbudowane są z ulic. Miasta żyją ulicami. Tętnem pulsują ludzie w żyłach ulic. Miasto ma swoją melodię.

Jest takie jedno miasto na świecie. Jest naprawdę duże, wiele milionów ludzi spotyka się co dzień i jedyne co po nich zostaje, to ich głosy zapisane w przestrzeni miasta jakby echem. Chodzą oni po ulicach w towarzystwie

muzyki klaksonów żółtych taksówek, dźwiękach, głosach wielobarwnej melodii ludzi, a to wszystko jakby przykryte deszczem i jego szumem. Ta historia wydarzyła się jesienią i jest bardzo prosta.

Duże miasto, duża ulica, przez którą codziennie przewijają się setki osób, na takiej właśnie ulicy prawie całe swoje życie spędził niewidomy. Kiedy ktoś z tłumu upuścił przez przypadek monetę on ją słyszał ale nie podchodził po nią. Nauczył się już, że nie warto. Zabiegani ludzie, kiedy tylko próbował wstać i szukać tej monety wpadając na niego krzyczeli...

- Co też robi ten człowiek...
- Brudny pijak !!
- Zejdź pan z drogi!
- Przejścia nie ma.
- Ale śmierdzi.

Historia z pozoru prosta, jak wiele rzeczy w życiu ma poziomy.

Nad ulicą, która stała się domem niewidomego górowały Wieżowce. Jeden wieżowiec, obok drugi wieżowiec, obok trzeci wieżowiec. Niewidomy co dzień wstawał i spędzał dzień na bruku nie wiedząc, że jakby z nieba, patrzyły na niego wysokie budowle. Trzeba wam wiedzieć mówiło się, że ta ulica jest pod wezwaniem trzech drapaczy chmur.

Wieżowce lubiły patrzeć na ludzi, ale jeszcze bardziej na ptaki, które latały ponad nimi. Pan Bóg stworzył ptaki, by nauczyć ludzi czegoś o niebie. Jednak ludzie nie patrzyli w niebo, ludzie patrzyli pod nogi. A wieżowce patrzyły i tęskniły. Patrzyły z pobłażaniem i jakby czułością na to wszystko. Jak biblijny Babel one chciały dosięgnąć nieba nie widząc, że niebo czasem zdarza się na ziemi.

Cała rzecz wydarzyła się jesienią, kiedy słychać było wiatr i jazz. Kiedy ludzie przechodzili przez tę ulicę rozkładali parasole i mówili...

- Ach znów pada.. coś za pogoda!

Ale to nie był deszcz. To się zdawało jakby te wieżowce płakały z cicha nad niewidomym.

Niewidomy miał swój karton, swojego przyjaciela Franciszkanina, który czasem przyniósł mu supkę. I nic więcej. Przez całe dni siedział i słuchał. Gdyby tylko miał oczy, jestem pewna, że kochał by patrzeć na ludzi. Jednak oczu nie miał. Słuchał jak ludzie wyglądają, jakie mają twarze. A zdawało mu się jakby wsłuchiwał się w koncert Filharmonii Nowojorskiej, tak mu się ta muzyka podobała, szumy głosów. Często na tej samej ulicy gdzie mieszkał niewidomy rozkładał się jazz band i grali muzykę w kolorze blue. Tak było i tamtego dnia.

Jakiś czas temu spotkałam tamtego Franciszkanina, jedyne przyjaciela

niewidomego (oczywiście oprócz muzyki) i on, braciszek opowiadał mi, że dla niewidomego ciało było jedynie klatką dla ducha, że mało osób jest takich jaki był on. On był ponad. Często mówił o tym, że miasto żyje ulicami. Że miasto żyje oddechami ludzi, że wszystko ma swój rytm. Żartował, że gdyby tylko mógł to zostałby bębniarzem w tym jazz bandzie, bo podobno tylko bębniarze mają w sobie rytm i żyją tym rytmem. Braciszek powiedział mi, że niewidomy miał tylko jedno marzenie.

I tamtego dnia kiedy to się wydarzyło padało, jazzmani grali, ludzie biegli, samochody rozchłapywały wodę jadąc z zawrotnymi prędkościami, drapacze chmur tęskniły do nieba.

Obok chodnika na którym całe swoje życie spełnił niewidomy biegła niezwykle ruchliwa ulica. Co dzień setki aut z zawrotnymi prędkościami mijały go trąbiąc i grając zupełnie inną melodię. Dysonanse.

Największym marzeniem niewidomego było przejść na drugą stronę tej ulicy.

Usłyszeć co tam jest, poczuć coś innego.

I tamtego deszczowego dnia, przyleciał do niego Anioł, wziął go pod ramię i powiedział:

– Chodźmy na drugą stronę, z stamtąd lepiej widać.

Zofia Piotrowska /Wrocław/ Książka

Znam Wiktorię bardzo dobrze, jestem jedną z najbliższych jej osób. Trzeba przyznać: jest piękna, chyba nie z tej z i e m i, panienka z bogatego domu, z zaplanowanym już życiem, a to za sprawą rodziców. Blondynka o ciepłych oczach i szczerym uśmiechu. Jednak to nie wygląd jest w niej najcudowniejszy, ale czystość intencji i wielkie serce. On to cudzoziemiec o niewiadomym imieniu, przepętniony tajemnicami, ze skórą oblaną konkretną dawką słońca, nauczony przez życie tego, że do niczego nie można się przyzwyczajać i wszystko się zmienia, całe szczęście. Ma rodzinę, o której nic mi nie wiadomo. W Polsce znalazł się przypadkiem, tłumacząc, że wszędzie jest lepiej niż tam, skąd pochodzi. Musiał radzić sobie sam. Jego czas wypełniały ćwiczenia fizyczne i pogoń za pracą, jakąkolwiek, która mu się trafi.

Szedł zatłoczoną ulicą mijany szerokim łukiem przez przechodniów. Pogryzione wargi i rozlatujące się buty ukazywały, że ostatnie czasy nie były łatwe do przeżycia. Idąc energicznym krokiem zauważył dziewczynę.

Stała za szybą kawiarni, podawała chleb starszej pani. Wpatrywał się w Wiktorię przez kilka minut. Chłopak przechodził tędy codziennie, patrząc przez okno piekarni na miłość i chleb. To zdumiewające, że były to dwie rzeczy, których było mu najbardziej potrzeba; znajdował je w jednym miejscu. Uskrzydłony zauroczeniem po dwóch tygodniach odważył się wejść do środka. Usiadł w kawiarni nic nie kupując, bo za co miałby coś kupić? Na wysokim krześle obrotowym siedział i przeglądał czasopismo. Dziewczyna położyła ciasto na stoliku, mówiąc: „To na koszt firmy”. I od tego się wszystko zaczęło.

Chłopak przychodził codziennie. Spotykali się w kawiarni, następnie godziny spędzali na spacerach. Śmiali się i rozmawiali, przeskakując bariery kulturowe i wychowanie. Ona kochała pisać, poprosiła, aby pisali do siebie listy. Wtedy okazało się, że chłopak nie umiał pisać. Nic dziwnego, był człowiekiem, którym pogardzano od dnia narodzin. Wiktorcia opowiadała z pasją o książkach, które stanowiły cenną część jej życia. Oczywiście otwierając serce, z entuzjazmem obiecała mu, że nauczy go tak podstawowej umiejętności. Spotykali się jeszcze częściej. Dziewczyna przekazała mu bezcenny skarb. Przelewała swój ból i samotność na papier. A było tego sporo. Zaczął pisać, nie tylko listy pełne żywych emocji, ale i sam dla siebie. Byli parą nie z tej z i e m i, ich porozumienie stało się coraz głębsze. Jako jedyna z rodziny widziałam ich razem. Oczywiście nie powiedziałam niczego rodzicom, nigdy by się nie zgodzili na ich spotkania. Nie pasował do ich układanki. Niestety, Warszawa to duże miasto, ale okazało się małe, by ich uczucie pozostało niezauważone. Nie wiadomo kto się wygadał. Może zazdrosne koleżanki, których życie pozbawione poezji sprzyjało braku współczucia, albo sąsiadki. Rodzina się dowiedziała. W kłótni padły ostre słowa. Zraniły Wiktorię, której łyży połały się niepohamowanie. Oczywiście nastął czas rygorystycznego zakazu na jakiegokolwiek spotkania z owym ukochanym. Przez ludzi uzależnionych od wygody. Obca im była miłość, a poświęcenie nie do pojęcia. Przyznaję, doskonała pozycja do osądzania. Wychodziła wcześniej z pracy, przez strach. Nie była gotowa na spotkanie z chłopakiem. Ostatnie, co chciała zrobić, to zranienie go, ale nie wiedziała jak to zakończyć. Przy najbliższym natknięciu się na ukochanego coś się zmieniło. Jest taki stan, kiedy człowiek zaczyna postępować nielogicznie, jakby – nagle zapomniał o sobie. Nazywa się go miłością. Jakbyśmy nagle stali się naprawdę coś warci. Kolejnego dnia Wiktorii nie było w domu.

Niespecjalnie to kogokolwiek dziwiło. Od zawsze dusiła się w ustatkowanym, spokojnym życiu. Czasami trafiają się ludzie ze zbyt dzikimi sercami.

Zamieszkała u chłopaka. Przez następny miesiąc wyszło na jaw wiele jego sekretów. Prace, które wykonywał, nie należały do legalnych, ale warunki, w jakich się urodził, nie sprzyjały niczemu innemu. Zrozumiała, ile bólu musiało przynosić mu radzenie sobie samemu. Ukazały się również wady, tym samym zmywając nienaruszoną tajemniczą aurę wokół chłopaka. Stał się mniej odległy, przez co kochała go jeszcze goręcej. Życie w ciągłym napięciu było trudne, ale przynajmniej byli w tym we dwoje. Żywili się głównie poezją. Kiedy nie mogli wytrzymać z wycieńczenia, wchodzili na dach i patrząc w niebo, co przynosił im nadzieję, dywagowali, czy może to miłość napędza wszystkie gwiazdy.

Nadeszła wiosna, a razem z nią rozkwitła pełnia uczucia młodych. Siedzieli w kawiarni, a chłopak mówił, trzymając ją za ręce: „I wtedy będziemy już zawsze razem”. Zamówili małą czarną kawę i oranżadę. Następnego letniego dnia dziewczyna czekała. Czekala już 4 godzinę. Obsługa dworca mówiła jej kilka razy, że chłopak z akordeonem wsiadł do pociągu już dawno. Pociąg odjechał. Nie wierzyła nikomu. Przecież nie zostawiłby jej, byli w tym razem.

Nie mając innego wyjścia Wiktoria wróciła do domu. Z dumnie podniesioną głową. Złe wieści mają to do siebie, że rozchodzą się szybko, a tym bardziej historii nieszczęśliwej miłości. Ludzie mówili dużo, jak mają w zwyczaju. Dziewczęta o tym, że nie przeżyłyby takiego upokorzenia. Dorosli ośmielili się używać słów, takich jak głupota czy przegrana. Kilka dni później do Wiktorii przyszła paczka. Była to książka, a właściwie nieudolnie sklejone kartki. Na pierwszej stronie widniało zdanie: „Dla Wiktorii, miłości mojego życia...”

Pola Rabajczyk /Wrocław/ Zimne piekło

Dziewiętnastego października o godzinie szóstej rano Róża przygotowała śniadanie. Wyjątkowo tego dnia usmażyła naleśniki, upiekła tosty, a także kupiła najdroższą szynkę jaka była w sklepie. Nie dało się ukryć, że jest w dobrym nastroju. Na jej wychudzonej twarzy można było zobaczyć nieśmiały uśmiech, a zazwyczaj smutne oczy nabrały blasku. Niemniej wszystko na powrót stało się szare, gdy do kuchni wszedł ojciec razem z jej młodszym rodzeństwem. Róża nakryła do stołu pamiętając o talerzu dla mamy, która wczorajszej nocy późno wróciła z pubu.

- Wyglądasz okropnie, przebierz się, bo nie mogę na ciebie patrzeć -

warknął ojciec, nawet na nią nie patrząc.

- Zrobię to po śniadaniu - odezwała się ostrożnie, jednak widząc gniewny wzrok ojca szybko zmieniła temat. - Nałożyć ci naleśniki? - nie czekając na odpowiedź, włożyła je na talerz. Potem każdemu po kolei podawała to, na co miał ochotę. Tego poranka szczególną uwagę poświęcała swojej siostrze. Nalała jej więcej syropu klonowego niż braciom, a także pozwoliła wziąć czekoladę na drugie śniadanie. Kiedy nadszedł czas wyjścia do szkoły, odprowadziła ją aż pod same drzwi.

- Czy coś się stało? - zapytała dziewczynka, kręcąc głową tak, że jej kucyki kiwały się na boki. Róża przyklękła przy niej, aby być z nią twarzą w twarz.

- Jesteś piękna i mądra, ale musisz być jeszcze dzielna. Nie daj się podpuszczać braciom ani zastraszyć matce, ale przede wszystkim pamiętaj, żeby myśleć o sobie. Dziewczynka, nie do końca rozumiejąc o co chodzi, pokiwała głową i odwróciwszy się na pięcie, wyszła do szkoły.

Z podstawówki do liceum Róży był niemały kawałek drogi. Nie zniechęcając się jednak, wciąż w dobrym humorze poszła na przystanek. O godzinie ósmej rozpoczęła się pierwsza lekcja. Pani od matematyki rozdawała ostatnio napisane testy. Nie było dla nikogo zaskoczeniem, że Róża miała najwyższy wynik ani także to, że nauczycielka na forum klasy wygłosiła gratulacje. Jedyne, co dziwiło, to fakt, że Róża tego dnia się uśmiechała jak nigdy dotąd. Podczas przerwy usiadła obok kaloryfera. Siedziało tam mnóstwo uczniów. Jedni po to, żeby móc z kimś porozmawiać, inni żeby się ogrzać. Wśród morza telefonów, książek i szumu usłyszała, że ktoś ją woła. Dosiadła się do niej koleżanka z klasy, której wielokrotnie pomagała w matematyce.

- Wszystkiego najlepszego z okazji osiemnastych urodzin!

- Dziękuję. Fajnie, że pamiętałaś.

- Nie do końca, ale wiesz, od czego jest Facebook? - zaśmiała się i zanim Róża zdolała powiedzieć coś jeszcze, dziewczyna odeszła tak szybko, jak przyszła.

Lekcje mijały powoli. Co chwilę zerknęła na zegar, nie mogąc doczekać się godziny dwunastej, dlatego właśnie gdy usłyszała dzwon oznajmiający południe, pędem ruszyła w stronę gabinetu dyrektorki. Czekając przed wejściem, przystępowała z nogi na nogę, kurczowo trzymając teczkę. Po chwili drzwi się otworzyły, a ona została zaproszona do środka. Pani Gałkiewicz, bo tak nazywała się zwierzchniczka szkoły, przywitała ją z uśmiechem. Uwielbiała Różę za jej skromność, a jednocześnie upór w dążeniu do celu. Dobrze bowiem wiedziała, dlaczego ta do niej przyszła.

- Witaj, kochanie! Usiądź, usiądź, co tak stoisz? Masz ochotę na ciasteczka? - zapytała, podnosząc mały talerzyk. Róża pokręciła głową, lekko się uśmiechając.

- Przyszłam do pani w sprawie mojego stypendium w Warszawie.

- To wspaniale! Udało ci się przekonać rodziców do podpisania dokumentów czy... - urwała w pół zdania, gdy zobaczyła smutny uśmiech Róży. Wiedziała już, że jej ojciec pozostał nieubłagany w tej kwestii.

- Niestety nie, ale dziś skończyłam osiemnaście lat, więc mogę podpisać je sama - dyrektorka uśmiechnęła się pokrzepiająco. To ona była osobą, która pokazała Róży ten program stypendialny dla uczniów. Pokrywał on koszty nauki, a także akademik. Idealna szansa, żeby zacząć wszystko od nowa. Z podziwem patrzyła na odważną dziewczynę dla której los był okrutny, a ona wciąż się nie poddawała, każdego dnia mając nadzieję że będzie lepiej. Całe to przekazanie dokumentów było tylko czystą formalnością. Róża już dawno dopięta wszystko na ostatni guzik.

O godzinie piętnastej Róża wyszła ze szkoły. Jak co dzień, zamiast pójść do domu odpocząć po ciężkim dniu, ona pojechała do pracy. Może się wydawać, że praca „na kasie” w sklepie nie jest wymagająca, jednak jest to niezwykle niewdzięczne i męczące zajęcie. W dodatku nie raz trzeba było wypakowywać ciężkie towary na półki, bądź rozmawiać z wyjątkowo nieuprzejmymi ludźmi. Po paru godzinach takiej pracy Róża zazwyczaj miała wszystkiego dość i jedyne, czego chciała, to pójść spać. Jednak dziś dobry humor jej nie opuszczał nawet wtedy, gdy w sklepie awanturował się pijany mężczyzna, któremu nie chciała sprzedać alkoholu. Pod koniec dnia pracy Róża poszła odebrać swoją wypłatę. Pieniądze dostała w gotówce, tak jak o to prosiła kilka dni wcześniej. Nie zarabiała dużo. Na pewno nie tyle, ile powinna dostać za pracę którą wykonywała. Świat jest niesprawiedliwy, a ona widziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Nie narzekała jednak. Część wypłaty włożyła do portfela, a resztę schowała do buta. Robiła tak zawsze na wszelki wypadek, gdyby któryś z rodziców przeszukiwał jej torebkę. Był to jej ostatni dzień w pracy i ostatnia wypłata.

Z biegiem lat zaoszczędziła sporą sumę pieniędzy, co prawda ogromnym kosztem, ale było warto. Chwytała się każdej najmniejszej i najcięższej pracy, byle tylko mogła zrobić zakupy do domu i co nieco odłożyć na konto.

Kiedy wróciła do domu, zastała tylko swoje rodzeństwo. Dzieci nie jadły obiadu ani nie odrobiły lekcji. Po prosu siedzieli cicho w pokoju. Róża westchnęła rozczarowana. Nie powinno jej to dziwić, jednak ona zawsze

miała nadzieję, że pewnego razu wróci do domu i zobaczy prawdziwą rodzinę. W takich momentach wracała wspomnieniami do tych beztrudnych dni, kiedy świat nie był okrutnym polem walki, tylko kolorowym obrazkiem, a dom kojarzył jej się z rodzinnym ciepłem. Czuła wielki żal, że jej rodzeństwo nigdy nie poczuło, jak to jest mieć kochających rodziców. Robiła co mogła, ale nieważne, jak bardzo się starała, nie mogła być dla tej trójki ojcem i matką. Targały nią ogromne wyrzuty sumienia, że zostawia rodzeństwo na pastwę potworów, które każą do siebie mówić „mamo” i „tato”. Jednak to, czego nauczyła się przez te wszystkie lata to fakt, że dopóki oni rządzą, dopóty nie ma jak im pomóc. Tak więc obiecała sobie, że jak tylko uda jej się wyjść na prostą, uratuje ich z okrutnych szponów tej rzeczywistości, pokazując świat, w jakim powinni byli od początku się znaleźć. Może były to tylko dziecinne mrzonki, ale Róża nie zamierzała się poddawać.

Wyciągnęła rosół z lodówki, żeby go podgrzać na obiad, jednak zanim to zrobiła, zawołała swoją siostrę. Nie musiała długo na nią czekać, już po chwili obok niej wesoło podskakiwały dwa kucyki.

– Dziś pokażę ci, jak podgrzać zupę. To niewiele, ale jak już się nauczysz, to wszystko dalej pójdzie z górki. – Po wyrazie twarzy swojej siostry Róża poznała, jak bardzo jest ona zaskoczona. W końcu, przez cały czas każdy jej mówił, że ma nie dotykać kuchenki ani zapalek, bo dzieci nie mogą bawić się ogniem. Róża wzięła zapalarkę do gazu i sprawnie uruchomiła kuchenkę, przy okazji dokładnie tłumacząc, co i jak, nie pomijając ostrzeżeń dotyczących tego, jak niebezpieczny jest ogień. Bolało ją, jak szybko jej siostra musi dorosnąć, żeby zadbać nie tylko o siebie, ale i o rodzeństwo. Gdy zjedli obiad, a Róży udało się zmobilizować wszystkich do pomocy w sprzątnięciu, nadszedł czas na odrabianie lekcji. Głównie chodziło o jej siostrę, bo bracia nie mieli jeszcze zadań domowych. Nie wykluczało ich to jednak z obowiązku słuchania, co Róża mówiła.

– Musisz się dużo uczyć, musisz mieć na tyle dobre stopnie, żeby móc uczyć się gdzie tylko zechcesz. Żeby nic nie mogło cię zatrzymać, jeśli pewnego dnia nadarzy się okazja, aby zacząć żyć. – Dziewczynka nic nie rozumiała z tego, co próbowała przekazać jej siostra, mimo to poczuła się bardzo przygnębiona. Widząc to, Róża uśmiechnęła się pokrzepiająco i czule pogłaskała ją po głowie. Nie miała pewności, jak to wszystko co utoży, ale miała poczucie, że będzie dobrze.

O godzinie osiemnastej z pracy wrócił ojciec. Był bardziej zdenerwowany niż zwykle, dlatego Róża kazała swojemu rodzeństwu nie wyściubić nosa z pokoju. Dzieci nie posłuchały jej jednak, a gdy tylko mężczyzna je zo-

baczył, zaczął na nie krzyżeć. Nikt nigdy nie znał powodu, za co dostają naganę. Czasami wśród ogromu przekleństw i wyzwisk dało się słyszeć coś o hałasie albo telewizji, jednak ani razu Róża nie usłyszała nic, za co faktycznie mógłby być zły. Dzieci płakały, ona próbowała zabrać je do pokoju, jednak drogę ucieczki odcięła im matka. Ta kobieta, która nosiła każde z nich dziewięć miesięcy pod sercem, w swoim własnym ciele, nie dość, że nie reagowała na krzywdę, to jeszcze ją zadawała. Kobieta, która powinna być ich ostoją, bezpieczną przystanią, odsuwała się od nich, dając lwu na pożarcie.

Awantura skończyła się dopiero, gdy w telewizji rozpoczął się mecz. Wtedy ojciec zamilkł na dobre. Całkowicie stracił zainteresowanie swoimi dziećmi. Wszyscy byli wymęczeni i przerażeni, dlatego Róża kazała im jak najszybciej zrobić wieczorną toaletę pójść do łóżek. Gdy wybiła godzina dwudziesta i wszystkie dzieci były już w pościeli, Róża przychodziła do ich pokoju żeby poczytać im bajki. Każde z nich było inne, dlatego musiała czytać trzy różne historie. Czasami, po wyjątkowo ciężkim dniu, takim jak dzisiaj, bardzo trudno było im zasnąć, dlatego siedziała z nimi w pokoju tak długo, dopóki nie nabrała pewności, że wszyscy śpią. Dopiero wtedy zaczynała zajmować się swoimi sprawami. Myła się, jadła czy odrabiała lekcje, jednak dziś postanowiła czuwać dłużej. Miała bowiem wrażenie, że powinna jeszcze chwilę zostać. Nie pomyliła się, dzieci po traumatycznej kłótni, ciągle się budziły albo płakały przez sen. Wtedy ona podchodziła do każdego z nich, przytulała i uspokajała jak prawdziwa matka.

Usiadła przy łóżku swojej młodszej siostry. Głaskała ją po głowie i jak mantrę, szeptem powtarzała „przepraszam”. Sam widok jej spokojnej twarzy rozdzierał jej serce. Już za parę godzin ta niewinna istotka będzie musiała przejąć jej ciężkie brzemię. Nie wiedziała, czy mała jej to kiedykolwiek wybaczy, czy ona sama sobie to kiedyś wybaczy. Jedyne czego była pewna to tego, że zostając, nic nie zmieni.

Róża nigdy nie płacze. Nie pozwala łzom lecieć, bo wie, że nie będzie mogła się potem uspokoić. Dlatego stara się włożyć maskę normalności, żeby nikt po niej nie poznał gdy cierpi. Nie dowiedział się, jak głośno krzyczy w środku i jak rozpaczliwie woła o pomoc. Jak żyje w ciągłym strachu o siebie i swoje rodzeństwo, a teraz będzie żyła z poczuciem winy.

Usłyszała trzask drzwi. Spojrzała na zegar, który wskazywał dziesiątą wieczorem.

O tej godzinie w piątki rodzice wychodzili do pobliskiego baru. Nie wracali aż do następnego dnia rano. Dopiero wtedy Róża wyszła z pokoju rodzeństwa i zaczęła sprzątać dom. Z każdą minutą stawała się coraz bar-

dziej podekscytowana, ale też rozżalona. Postanowiła, więc napisać list do rodziców. To pierwszy i ostatni raz, kiedy będzie mogła powiedzieć im wszystko, co o nich myśli, wypomnieć wszystkie żale i przykrości. Napisała dwie strony tekstu, wlała w nie całe swoje serce i łzy, którym ostatecznie pozwoliła wypłynąć. Spojrzała na kartkę, uśmiechnęła się gorzko, po czym wrzuciła ją do kominka.

To wszystko, co wypisała, było już przeszłością. Poza tym była pewna, że jej rodzice i tak by tego nie przeczytali. Napisała, więc do nich krótką notkę: „Daliście mi w prezencie życie. Idę je wykorzystać”. Odłożyła ją na środek stołu w salonie, tak aby była dobrze widoczna.

Równo o północy wyciągnęła już dawno spakowane walizki, zgasiła światło i zamknęła za sobą drzwi. Spojrzała na bilet Wrocław-Warszawa. To był jej bilet, żeby zacząć swoje życie.

Julia Wolińska /Olsztyn/ Notatnik

Zbliżał się świt. Przygaszone jezioro odpoczywało od mieszkańców miasta, wtedy pogrążonych we śnie. Powietrze przeniknęło zapachem mułu. Nad samym brzegiem słyszalne były tylko ostatnie krople deszczu skapujące z liści i cichy, kobiecy głos.

Anna przypominała sobie, że właśnie tu z zapiskami miał w zwyczaju przesiadywać jej mąż, zanim z wielką tęsknotą złożyła go do grobu. Blond włosy w nieładzie uwydatniały, ile sił potrafiła jej odebrać kilkudniowa żałoba; przytłumiła również czujność. Jedynie naprawdę zagubiona osoba nie zauważyłaby, że sąsiadka, która w szlafroku wybiegła za nią z kamienicy, nie kierowała się troską.

Zniecierpliwiona przysunęła się, rozwarła usta do pytania, rozpalającego ją od środka. Liczę, że Jan chociaż zdążył skończyć swój tekst. Mam rację? Zaskakująca była bezpośredniość i pewność, z jaką zdołała sprowadzić życie pisarza do samego pisania. Jeszcze bardziej spochmurniały niemalże przezroczyste oczy Anny.

Nie myślałam... Zapomniałam... o tak błahej sprawie. Nie mam go.

Mętlik, nagłe telefony od dalekiej rodziny i mediów, cisza zimnych ścian – poznała to w tygodniu, który nastąpił później. Przedwojenne mieszkanie, chociaż gustownie urządzone meblami na zamówienie, wydawało się puste niczym dwadzieścia lat temu.

Zakochani narzeczeni, to znaczy wykładowczyni i z wyglądu niewiele

starszy literat, oswajali je jakby zamiast zwierzęcia. Już w gestach – niewyczerpanie ciepłych, z szacunkiem, ale też zakodowanych dla obcych – wyróżniali się od innych par. Bliskość między sobą podscylił do tego stopnia, że nie istniały niewyszeptane do ucha tajemnice. Ciekawość pozwoliła im utrzymać przekonanie, że po wychwyceniu rytmu bicia serca, ulubionego rodzaju kawy, nadchodzi przecież nowy koszmar, zmarszczka i nowe marzenie. Kiedy Jan prowadził stronę, która rozstawiała go na tyle, aby zacząć wydawać, żona zwykle siedziała przy nim i sprawdzała prace studentów.

Do pustki nie dało się przyzwyczać. Bezruch wzbudzał napięcie czujnego człowieka i wrażenie, że wypełnia się cały pokój.

Pewnego dnia przyszła pora porządków. Zwykłe przewracanie dokumentów zajmowało dłużej niż powinno – wciąż trafiało się na fotografie lub drobnostki, które szkoda było wyrzucić, więc przyglądało się im w zadumaniu. Aż na końcu szuflady... Palce wyczuły przedmiot i rozpoznały go, zanim został wyciągnięty na powierzchnię. Okładka sztywne, śliska, a pod nią puste kartki w kratkę. Po przewertowaniu kilku, pierwsze ślady tuszu. Gruba skóra dopiero wówczas odstaniała słodki miąższ owocu. Notatnik! W głowie Anny pochylone litery układały się w słowa, a słowa w najszersze zdania jakie mogła usłyszeć, bo czytane J e g o głosem. Jednak rozdział opowieści, poprzedzony krótkimi szkicami, urwał się niespodziewanie na opisie krajobrazu. Zabrakło czasu, aby go dokończyć.

Śmiech dochodzący z klatki schodowej sprawił, że wstała popatrzeć przez wizjer. Za zbiegającym chłopcem próbowała nadążyć jego mama, obiecując niestworzone rzeczy, które kupi mu za posłuszeństwo. Podążyła za nimi do okna. Wychodzili przytuleni i ucieszyło ją, że biedne dziecko jeszcze nie wie, jak niską wartość mają obietnice.

Trudno wskazać, kiedy ranga przypadkowo znalezionej notatnika wzrosła do towarzysza codzienności. Coraz częściej przytapywała się na zagłębieniu do środka, jakby spodziewała się świeżych myśli. Uspokajała ją kontur obojętnie oparty o krzesło. Coś zdumiewającego było w tej niezachwianej stateczności, do wytłumaczenia najwyżej tym, że papier z fabryki zdążył pogodzić się ze zmianami właścicieli. Dlatego z wyczuleniem przesuwała dłoń po gładkiej powierzchni szarej okładki, jak u wszystkich egzemplarzy rozproszonych po świecie.

Kilka razy pojawiła się w pobliskiej aptece. Stawała w kolejce powtarzającej automatycznie „dzień dobry” i długie nazwy leków. Farmaceutka z przyzwyczajenia przygotowywała dla niej podwójne opakowania, a po zastanowieniu zamieniała je na podarunkowe próbki kremów.

– Niech sprawdzę... – komplikacja wybiła ją z rytmu pracy. – Brak w stanie, mogę zaproponować zamienniki albo powiadomić o dostępności przez system.

Klient z tyłu odchrząknął i Anna wybrała drugą możliwość.

Choćby od domu dzieliły ją kilometry, to w końcu jedyne miejsce, do którego chciała powrócić. Specjalnie wydłużała drogę nie dlatego, że czuła odpychanie, ale dlatego, że poczucie przytłoczenia fascynowało ją do wyczerpania.

Otworzony brulion mógł prawdziwie prowadzać. Czytając szkic o marmurowej panience, widziała sylwetkę męża krojącego chleb (stąd plama masła nad tytułem) ze złością spowodowaną zepsutą uszczelką. Zaraz zmierzał korytarzem do salonu, żeby położyć się i zasnąć. Stałam w drzwiach, gdy podwijał nogi do siebie, myślała Anna, światło z przedpoкою rzucało jasny prostokąt akurat na niego.

Niemal przegapiła wiadomości, które zbierały się w jej skrzynce internetowej. Lekki był już do odbioru, lecz przestały ją obchodzić pod nawąłem listów od obcych ludzi. W każdym przewijało się wystarczająco dosadnie sformułowane oskarżenie. Zadrżała. Po odejściu od monitora, zaczęła przechadzać się w tę i z powrotem.

Chowała tekst, który miał mieć wielką premierę – oto, co twierdzili fani. Rzeczywiście, zapowiedź widniała na blogu Jana, o czym przekonała się, gdy odważyła się wyświetlić stronę główną. Być może mają prawo czekać – zgięte palce wisały nad klawiaturą – ale ja mam prawo do spokoju. Kiedy zalogowała się na konto, nikt nie mógł jej zatrzymać. Nowy wpis pojawił się na liście postów pod nazwą „Prawda”, chociaż ukrywało się w nim jedno kłamstwo. Napisała, że wbrew podejrzeniom, nie posiada utworu. Tym razem zaprzeczyła rozmyślnie.

Kolejne połączenia od dziennikarzy były kwestią czasu. Musiała odpowiadać, czy nie czuła oporów przed rozpętaniem burzy w miejscu stanowiącym już tylko archiwum. Innymi słowy, czy nie naruszyła zasad dobrego smaku. Telefon wibrował gdy robiła zakupy lub brała prysznic, a jednak odbierała z nadzieją, że uda się jej wytłumaczyć swoje intencje.

Zamiast tego, każda trudna rozmowa pogrążała ją bardziej niż poprzednia. Stała się istną ciekawostką, chętnie ocenianą przez internautów. Podkuśiła ją, aby wpisać swoje nazwisko w wyszukiwarce, sprawdziła najskuteczniej, ile się zmieniło. Osiągnięcia naukowe do których się przyczyniła figurowały na drugiej lub trzeciej stronie listy wyników. Z pierwszej mogła dowiedzieć się, że w samotności do reszty zwarowała, zależało jej na rozgłosie, a w ogóle ukrywaniem owoców pracy zaszkoziła polskiej

literaturze.

Od przykrych komentarzy można by się odseparować wyłączeniem ekranu i uznaniem ich za urojenia. Ale przecież istniały naprawdę, w czym utwierdzał ją badający wzrok sąsiadów. W okolicy niedużo było trzeba do wzbudzenia sensacji – wystarczył język i ciut ludzkiego nieszczęścia.

Deszczowe dni sprawiły, że nie odrywała się od notatnika. Lubiła łagodność obrazów kreowanych przez męża, bo kryła się w nich wiara w rzeczy niewyobrażalne, które czuje się podświadomie w zwykłych miejscach i zdarzeniach. Jak u baśniarza jego umysł wzbijał się

w górę, ale ciągle czerpał ze świata pielęgnując rzeczywistość – pochylała się nad biurkiem. Potrafiła trwać w tej pozycji przez wiele godzin, zmieniając tylko ułożenie rąk: obracała w nich notatnik, a co jakiś czas nieśmiało przykładała do kartki obok długopis, żeby zapisać nagle rodzące się myśli. Jakby wodziła po szlaczku, nasuwała się treść następnych zdań. Kto, jeśli nie ona, miałby znać obszar poza granicami opisu krajobrazu?

Kiedy zatrzymywała się na pustej linijce, zaraz szukała wskazówek we wspomnieniach. Nie miała pewności czy dobrze robi. Jednak gdyby grzeszyła – tłumaczyła sobie, nie mogłaby czuć lekkości towarzyszącej duchowemu ładowi.

Kolejne wydarzenie udowodniło jaką wartość mają rękopisy pisarza. Krótkotrwałe zagęszczenie myśli i brak uwagi zamieniły wyjście do sklepu w okazję dla złodzieja. Kobieta stała przed uchylonymi drzwiami swojego mieszkania, odwlekając moment pociągnięcia za klamkę. Próg pokoju przekraczała obłana zimnym potem. Wtedy sylwetka ludzka mignęła za framugą – trach! – śpiesznie odbiła się od parapetu na beton.

Anna podbiegła do biurka niczym w matczynym odruchu. Zbierała rozrzucone po podłodze dokumenty i karteczki, modląc się tylko o jedno. Zajrzała jeszcze pod książki i to ją uratowało... Nie mogłaby znieść kolejnej straty. Notatnik leżał pod nimi, zapewne dlatego, że szara okładka nie wyróżniała się niczym szczególnym.

W pierwszej chwili ulżyło jej – ocalał. Musiała straszliwie wyglądać, sprawdzając, czy jest taki sam. Aż nadto wygięta grzbiet w swoją stronę, a ten stawiał znajomy opór. Potem usiadła na brzegu łóżka i pobladała. Nie umiała zagłuszyć głosu że tu, w zacisznej kamienicy, przestało być bezpiecznie. Wszystkie okna naprzeciwko wkrótce pociemniały, ale bezsenność nie pozwoliła jej zmruznąć oka.

To sto razy obracana nawilgnięta poduszka, nastuchiwanie odgłosów samochodów z ulicy, cienie przedmiotów rzucane na ścianę i prześwietlane, okrutne analizowanie twarzy które znała od lat, a podejrzewała o wro-

gość. Wyobraźnia zniewoliła ją do odgadywania, co może wydarzyć się w niedalekiej przyszłości, jeśli nie podejmie natychmiastowej decyzji. Lampka oświetlała ułożony na kolanach brulion. Licznik wyrazów informował, ile z nich przepisała, mimo to odmierzała je w tykaniu wskazówek zegara i przewróconych stronach. Skoro ogołacała go, dlaczego treść nie zniknęła lecz przeciwnie – powielana się? Porównała, czy nie pominęła żadnego detalu, po czym kliknęła opublikuj. Fizyczne kartki przeniosły się w dziwnie nienamacalną przestrzeń. Nad resztą nie miała kontroli.

Reakcji ludzi nigdy nie da się przewidzieć do końca. Dostaliśmy zaledwie namiastkę tego, na co oczekiwaliśmy – przeczytała z rana i znieruchomiała. Zaczęła nerwowo przewijać stronę, aż kursor zatrzymał się na przychylnym komentarzu, więcej – pełnym uwielbienia.

Nie był odosobniony, niżej pozostali zaręczali, że są pod wrażeniem. A zatem tekst wprawił w zachwyty. Wielka szkoda, że premiera musiała odbyć się w równie niedorzeczny sposób, ale mówi się trudno. Ogarnęła ją jakaś duma, jak zawsze zresztą, odbierały rzecz chyba podstawową – zdolność oceny. Przez rozbieżne opinie gubiła się w przypuszczeniach i w końcu wiedziała tylko, że przepadła w historii, która nie może dobiec końca. W tej gładkiej powierzchni pod opuszkami, w tych kratkach wtopionych w białą fakturę nie czuła samej materii. Nie myślała ani o rozkoszy, ani nawet o fanach... Pomiędzy tymi kratkami ona dopiero żyła ze świadomością, że musi dołożyć wszelkich starań, a jednocześnie zapomnieć o sobie... Bo jeśli znowu nic nie działo, nie ma na świecie nikogo innego, i wszystko stracone.

Nie chodziło o żadne korzyści kiedy wyciągnęła swoje zapiski. Kto tak myśli, niech sam skaże się na chłodny pokój, krzesło wsunięte w biurko, na nim długopis oraz jedyną zginiatającą perspektywę, w której współpracuje z milczącym notatnikiem. Chciała go za to skrzyknąć, zmiędlić go, a jednak czuła, że obydwójce należeli do siebie przez miłość do tego samego człowieka.

Pisała długo, głowiąc się nad niewypowiedzianymi słowami. Oznaczało to, że musiała zachowywać we własnej świadomości i siebie, i patrzeć z punktu widzenia Jana. W jednej osobie, co balansowało na granicy niemożności, musiała zawrzeć się podwójne myślenie: zabieg pierwszego natychmiast próbowało odgadnąć drugie, podczas gdy to kontrolowało, czy wizja nie odstępkuje od wymagań.

Wydoskonaliła się w tym abstrakcyjnym zajęciu – coraz łatwiej przychodziło przewidywanie co powie druga strona i zadziałała prawdziwa inwencja twórcza. Doznała pewnego poczucia wyższości jakie rządzi kom-

pozytorami, gdy przechadzają się po dworze. Wiedzą, że ich wyższość polega na umiejętności zsynchronizowania widzenia i dyrygowania wymagowaną orkiestrą, nakładającą na panoramę najpiękniejszą muzykę. Słowo, akapit, przestrzeń zamknięta marginesami, szereg liter stawiany za jednym zamachem, blat i nic więcej... Aż wreszcie przyszła chwila, której obawiała się od początku. Z ostatnimi pociągnięciami długopisu ciarki przeszły jej po plecach, wszak identyczne chwile, to pewne, przeżywa jedna na milion osób.

Już wcześniej rodziło się w niej pragnienie, ale wtedy jak powracające echo słyszała w duszy: zadzwon! zadzwon! Tętniło w jej głowie, niepowstrzymanie i bez przerwy: zadzwon! Wybrała numer do wydawnictwa. Nie chciała odpowiadać na żadne pytania – poprosiła tylko o wizytę. Osobiście przedstawi, jak wyobraża sobie antologię, wydaną tak, aby oddawała należyty szacunek.

Po tym, jak odłożyła telefon, wszystko wokół wydało jej się raptem pozabawione namiętności. Postanowiła czekać w tej zastygłej krainie ukladając wypowiedzi, którymi przywita gościa. Przy wciąż rozdwojonym umyśle, słowa męża tliły jej się nawet w parze nad herbatą. Dochodziła dwudziesta, w każdym razie brakowało ośmiu minut – wie, bo wpatrywała się w zegar na ścianie gdy zadźwięczał dzwonek. Puściła podłokietniki krzesła i rzuciła się do klamki. Wymuskany mężczyzna trzymał w dłoni plik kartek, chyba wręczył je, gdyż zaraz przerzucała strony wstępu.

Od razu rozpoznała, z czym ma do czynienia. Trzymała go w drzwiach, rozpluwając się nad dobrze znanymi zdaniami, niemal wrytymi w pamięci, ale miała ochotę przeczytać je ponownie. Nagle fragment nie zgadzał się, jak przecięty nożem. Starła się ustalić, w którym momencie mógł się pojawić, a już kolejny burzył jej obraz, jakiś rzeński i obcy...

Fakty docierały do niej po kawałku i odczuła naraz, że jeśli nie usiądzie, to upadnie przed tym zbaraniałym osobnikiem.

– Proszę iść – wydusiła. – Proszę nie stawiać mnie w niekomfortowej sytuacji.

Wahał się jeszcze pomiędzy odejściem a kąśliwą odpowiedzią gdy trzasnęła drzwiami, po czym natychmiast, doprawdy natychmiast skierowała się w stronę źródła przyciążania. Oparłszy się o szafkę, w końcu przytuliła się w ściśnięte strony notatnika. Papier zaszeleścił, poczuła utęskniony byt... lecz wrażenie równoczesnej pustki napełniło ją tak mocno, że złękła się. Może kiedy puści, obecność ta odejdzie daleko, zanim zdąży pomyśleć co chciała powiedzieć!

Musiła czuć każde uderzenie serca pisarza. A nie... wytrzymać najędz-

niejsze próby, jakie śmiały pojawić się przed jej oczami. Położyła przed sobą dwa teksty – swój oraz wydawnictwa. W tych sekundach jej strach, jej obłąd dochodziły do zenitu. Wręcz nie mogła przestać dyszeć.

Niemożliwe... To halucynacja...

Gdyby poznała wtedy nazwisko człowieka który dokończył pracę męża, na domiar złego – wcześniej, sama nie wiedziała, co by mu zrobiła. Miała przed sobą arcydzieło! Pod jego wpływem zaczęła dostrzegać wszelkie nieścisłości jakie pojawiły się w jej zapisach.

Tak, czasem fragmenty niemal pokrywały się, jednak potem przez kilkadziesiąt linijek zwyciężały w tej bestialskiej walce o przywrócenie życia, lub raczej myśli z niego. Oceniała, wciąż oceniała każde słowo, aż stwierdziła, że są wstawione ze specjalistyczną precyzją, niesamowitym poletem. Nie do odróżnienia!

Olśniło ją, że to może jego dzieło... Sam przyszedł otrzymać gratulacje. Wyrzała na klatkę schodową, zatęchła i ciemną. Była jedyną żywą duszą krzyczącą w tym piekle. Do czego to doszło! Ani razu nie zachowywała się równie szaleńczo, nic nie zdołało wycieńczyć jej do podobnie niebezpiecznej granicy... Schowała wilgotną twarz w dłoniach; drżały jeszcze przez chwilę, po czym opadły na notatnik.

Przedwczoraj uśmiechała się do niego. Ale on nigdy nie odwzajemnił żadnego znaku.

Jan miał rację: Spokojną tafłę wody potrafią zakłócić kręgi zatoczone przez niewielkie krople deszczu.



SCENARIUSZE

COGITO ERGO... SUM – SCENARIUSZ SPEKTAKLU Z INSPIRACJI WYBRANYM WIERSZEM ZBI-
GNIWA HERBERTA

Michał Matyszkiewicz / Dąbrowa Górnicza Kubek powstańca [Z. Herbert – „Żeby wywieść przed- mioty”]

Czas akcji – współczesny

Osoby:

Paweł – biznesmen, mąż Ewy, ojciec Mateusza i Mai

Ewa – żona Pawła, matka Mateusza i Mai

Maja – uczennica V klasy szkoły podstawowej

Mateusz – uczeń III klasy liceum

Dziadek Staszek – dziadek Pawła, pradziadek Mateusza i Mai – jako zjawą z powstańca z Powstania Warszawskiego

AKT I Scena 1

Ciemność, trzaskające odgłosy igły przesuwającej się na adapterze i pierwsza zwrotka z refrenem piosenki powstańczej „Warszawskie dzieci”. Piosenka cichnie, odgłos oddechu starego człowieka, kilka ciężkich odkasznięć, odgłos nalewanej wody do szklanki, skrzypnięcie łóżka, chwila ciszy.

Dziadek Staszek: *(uroczyście, jak modlitwa, chwilami z trudem)*

„Przywróć mi, Panie, z dawnych lat herbaty gorzkiej tyk w manierce
i umarłego ojca list

sweter od siostry, matki serce

Kochanowskiego przekład psalmów spalony z Wilczą w czas powstania

i wszystko, czego życzę innym – a sam niestety nie dostanę

I spowiedź świętą z dawnych burz gdy łyż ważyła ręka Zbawcy –

i jeszcze jeden jakiś dzień

z dzieciństwa mego na ślizgawce

Ten śnieg, co mi na oczy spadł,

i to, com szeptał bezrozumny –

a potem jak najcięższy mszał

postaw z kielichem mi na trumnie”

Chwila ciszy, skrzypnięcie łóżka, ciężki kaszel, dźwięk szklanki rozbijającej się o podłogę, kilka sekund ciszy, słychać narastający dźwięk syreny karetki pogotowia.

Akt I Scena 2

Ciemność, kilka sekund ciszy, słychać dźwięk wybieranego numeru telefonu.

Ewa:

Paweł? Paweł, możesz mówić?

Paweł: (z irytacją)

Ile razy Ci mówiłem, żebyś nie dzwoniła, kiedy jestem w pracy?!

Ewa:

Wybacz, kochanie, ale to nagła sprawa...

Paweł:

Oby to było coś pilnego... Sekundę... (w tle) „Proszę państwa, przepraszam na chwilę, kontynuujcie dyskusję, po powrocie chciałbym poznać wyniki przeprowadzonej ankiety.”

(Trzask zamykanych drzwi, szmery i kroki słyszane w słuchawce)

Paweł: (z irytacją)

No, co się dzieje? Pali się? Okradli nas? Topsy ci się połamaly? Ktoś umarł?!

Ewa:

To ostatnie...

Paweł:

Jezu, kobieto! Dzwonisz do mnie do pracy z czymś takim?! Chcesz mieć na chleb i na wczasy w Dolomitach, to nie przeszkadzaj!... Weź sobie zrób nowe...

Ewa: (ze zdumieniem)

Co nowe?

Paweł:

No tipsy chyba, nie?

Ewa: (z irytacją)

Masz mnie za idiotkę?! O czym ty mówisz? Dzwonię bo... (powoli) Umarł – Twój – dziadek...

Paweł:

...co?

Ewa:

Dziadek Staszek. Dzwoniła Nowakowa, ta z naprzeciwka. Powiedziała, że było u niego pogotowie, że wzięli go w nocy do szpitala, ale zmarł...

Paweł:

No, przykro... ale pożył sobie chłopina... czekaj... stuknęło mu już pięćdziesiąt cztery wiosny... A my nie dożyjemy emerytury! Musimy korzystać z życia, póki czas!

Ewa: (przerywając)

Paweł, słuchaj, trzeba coś tam ogarnąć, jakieś papiery do pogrzebu, zasiłek, czy coś, mieszkanie... Pogrzeb przede wszystkim.

Paweł:

O, widzisz – w sumie mieszkanie by się przydało! Młody podskakuje, to niech się nauczy samodzielności, kasę mu damy! Tylko trzeba by tę chatę ogarnąć... Pewnie syf jest...

Ewa: (ostrzej)

Paweł, na litość boską! Pomówimy o tym może później, dobrze? Najpierw pogrzeb. To przecież twój dziadek!

Paweł:

Eee... Masz rację, pogadamy w domu, wracam na naradę. Do zobaczenia.
(Dźwięk zakończonej rozmowy)

Akt II Scena 1

Pokój w apartamencie Ewy i Pawła. „Ikeowski” w stylu. Prostota i czystość, przy detalach świadczących o zamożności. Sztynny układ, wieje chłodem. Na kanapie siedzi Ewa i Paweł. Na stoliku stoją kieliszki z winem i butelka.

Paweł: (do Ewy)

Co ja ci mam powiedzieć... Lubiełam nawet dziadka. Chociaż prawie go nie znałam... Jako dzieciaka fascynowały mnie te różne starocie w jego mieszkaniu... Pamiętam, jak coś mi pokazywał, objaśniał... Ale niewiele z tego rozumiałem... Byłem malcem.

Ewa:

Dlaczego nigdy nie chciał żebyśmy mu pomagali? Nie chciał opiekunki, nie chciał do domu pomocy...

Paweł:

Był dziwny... Trochę mnie to nawet fascynowało. Taki... dumny... pryncypialny... taki trochę... sędzia... Zawsze sam i sam – ja sam, ja dam radę. Zosia Samosia w męskiej wersji. (parska)

Ewa:

No, a twoi rodzice?

Paweł: (z irytacją)

Co moi rodzice?! Mieli w głębokim poważaniu dziadka. Kiedy dziadek się dowiedział że stary pracuje w MO, zakazał mu wstępu do domu i nazwał „sługą systemu”...

Ewa:

Tego nie wiedziałam...

Paweł:

No właśnie. Dziadek umarł, a my o starych sprawach...

(Dźwięk dzwonka telefonu, Paweł odbiera komórkę)

Paweł: (do dzwoniącego, z irytacją)

Ile razy mam wam powtarzać, że porządek w papierach jest najważniej-

szy?! Jeśli ta faktura się nie znajdzie – macie po premii – zrozumiano?!
(rozłącza się)

Paweł: (do Ewy)

Wieczny bajzel, wieczne szukanie. Ci ludzie mają w głowach siano, czy co? Mówisz, tłumaczysz, prosisz, grozisz i nic... Później tłumacz się klientowi, przepraszaj, dawaj upusty... Brakuje mi już sił...

Ewa:

A może byśmy wyjechali na trochę? Tylko ty i ja?

Paweł: (z goryczą)

I wierzysz w to, że w międzyczasie nasze pociechy nie spalą nam domu i nie wystawią nas na e-Bay'u?

Ewa:

Wydaje mi się, że chyba, na litość boską można im już zaufać... a już na pewno Mateuszowi...

(Dzwoni telefon Pawła)

Paweł: (do dzwoniącego)

No, co tam? A, znaleźliście? „Szukajcie a znajdziecie”... Taki żarcik... (śmiech)... Porządek i jeszcze raz porządek. No, nie dzwonić do mnie dziś, ani jutro! Rozłącza się. (do Ewy) Widzisz – z Mateuszem to tak jak z moimi pracownikami. Albo zgubi Maję po drodze ze szkoły, albo nie. Albo sprostadi jakieś podejrzone towarzystwo albo nie. Los jak wicher.

Ewa:

Wydaje mi się, że przesadzasz. No, ale jak już tak, to może ciocia Ola?

Paweł:

Co?! Ciocia Ola? No tylko kółka różańcowego mi w domu brakowało! My na Hawajach, a w domu szkółka modlitewna. (prycha)

(Dzwoni telefon Ewy)

Ewa: (do dzwoniącego)

Cześć kochanie... no tak, dobrze. Ale nie później niż o dwudziestej trzeciej, dobrze? No, to miłej zabawy. (do Pawła) Dzwonił Mateusz, że idzie z chłopakami do pubu, ponoć omawiać studniówkę...

Paweł:

No widzisz, no moje wychodzi! A prosiłem go przecież żeby odebrał Maję od koleżanki. Z nim tak zawsze...

(Wstaje, zabiera kurtkę z krzesła i kluczyki do samochodu ze stolika)

Paweł: (wychodząc)

Jadę po Maję. Jak wróci Mateusz, to sobie z nim porozmawiam, choćby w nocy! (wychodzi)

Ewa: (Zrezygnowana wstaje, sprząta kieliszki i butelkę. Podchodzi do regału,

czegoś szuka, wyciąga ze sterty książek stary album i zaczyna go przeglądać.
Gaśnie światło)

Akt II Scena 2

Ewa siedzi na kanapie z kilkoma albumami, pogrążona w oglądaniu. Otwierają się drzwi, do pokoju wbiega Maja, rzuca niedbale plecak, wskakując na kanapę i ściska matkę.

Maja:

Cześć mamusiu! Ale było fajnie u Alicji. Robiliśmy z jej mamą szarlotkę, pycha! Chciałam ci przywieźć ale ją calutką zjedliśmy (*śmieje się*). A babcia Ali powiedziała, że następnym razem usmażymy pączki! Ale super!

Paweł: (*wchodząc do pokoju*)

Komu się chce do licha smażyć pączki?! Czasochłonne i smród w całym domu!

Maja: (*z wyrzutem*)

Ale tatuś, my wszystkie stałyśmy przy kuchni i ja mieszałam składniki! Wiesz, jakie to fajne? Mamo, dlaczego my nigdy nie pieczemy ciast, co?

Paweł: (*stanowczo*)

Bo nie mamy czasu, Maju. Pracujemy po to, żebyśmy mogli kupić sobie szarlotkę czy pączki.

(Ewa posyła Pawłowi karcące spojrzenie)

Maja:

Ale tato, mama Ali też pracuje!

Paweł: (*ostro*)

Ale Ala ma babcie, która czeka na nią z obiadem i prasuje jej ubranka. A my nie mamy dziadków do pomocy!

Maja: (*siadając obok matki*)

Mamo, a dlaczego ja prawie nic nie wiem o babciach i dziadkach? I o pradziadkach? Opowiedz mi o tym pradziadku, co umarł...

Ewa: (*niepewnie spoglądając na Pawła*)

Widzisz, kochanie, tak się złożyło, że moi rodzice umarli zanim się urodziście – ty i Mateusz. A rodzice taty... Dawno temu wyjechali z kraju i nie ma z nimi kontaktu...

Maja: (*zdziwiona*)

Ale dlaczego? Mamo, przecież teraz jest Internet i moglibyśmy rozmawiać przez Skype'a albo przez... Oni nie chcą nas znać?

Paweł:

Maja, przestań pytać, ok? Jest jak jest. Masz rodziców, brata i Fifka. Jedną świnką morską masz się opiekować a kiepsko ci to wychodzi. Jeszcze

może chciałabyś się dziadkami opiekować, co?

Maja:

A Ala się opiekuje babcią i robi jej herbatę z miętą. I plecy jej masuje. A ty nawet swojemu dziadkowi nie zrobiłaś nigdy herbaty...

Paweł: *(ze złością)*

Marsz do swojego pokoju! Nie masz żadnych lekcji na jutro? *(z przekąsem)*

Czy może odrobiłaś u Ali po szarlotce?

(Maja patrząc z wyrzutem na ojca bierze z ziemi plecak i wybiega z pokoju)

Akt II Scena 3

W dalszym ciągu salon w apartamencie Ewy i Pawła

Ewa: *(z wyrzutem)*

Paweł, co cię ugryzło? Ona tylko pytała o rodzinę. Faktycznie nigdy nie rozmawialiśmy z dziećmi o ich korzeniach...

Paweł: *(parskając śmiechem, ironicznie)*

Korzeniach! Kolejny psychologiczny banal. I co mamy jej powiedzieć? Że dziadek wyklął

mojego ojca, za to że najpierw był w milicji a później uciekł jak szczur do Niemiec? Jeszcze gdyby do Ameryki... ale do Niemiec?!

(Ewa próbuje się odezwać, ale Paweł zdenerwowany nie daje jej dojść do słowa)

Durne życie... Może mam powiedzieć własnej córce, że starzy mieli mnie w poważaniu kiedy wyjeżdżali? Że podrzucili mnie jak sierotę do kuzynki matki? Ale dbali o mnie, oj dbali... Marki przysyłałi *(uśmiecha się gorzko)*. A to, że nie było ich przy mnie, kiedy kończyłem podstawówkę, liceum i studia to pies, prawda? Wigilie też miałem takie, jak w bidulu – ja „ten obcy” i dzieciaki ciotki... Ale oficjalnie byłem kochany, bo ja miałem te marki... Albo mój dziadek... Dziwny człowiek. Nic nigdy nie mówił o sobie. Zawsze tylko mówił o Polsce, o honorze, o godności. Takie tam, patriotyczne frazesy... *(zwiększa głos, jakby coś sobie przypominał)* Karmił te durne gołębie. To wiem na pewno. Pełno ich było na parapecie. I wiesz co? Ja nie wiem, jak on to robił, że... sam wszystko robił... Ja wiem? Ludzie go lubili... Sąsiedzi... A ja... Ja tak naprawdę nic o nim nie wiem. Nie wiem, kim był mój dziadek Staszek...

(Paweł nagle zatamuje się. Ukrywa twarz w dłoniach. Gaśnie światło)

Akt III Scena 1

Mieszkanie dziadka Staszka. Bałagan, wszędzie porozrzucone papiery, pamiątki. W mieszkaniu kilka szuflad i regatów, na jednym z nich stoi adapter.

Paweł z Mateuszem szukają dokumentów dziadka, przeglądając meble i kartony.

Mateusz:

Jezu! Pradziadek był mega! Na licho mu były potrzebne te menażki? Patrz!
(Pokazuje ojcu dwie blaszane menażki)

Paweł:

Zostaw to, młody. Szukaj w papierach... Ręce opadają...

Mateusz:

To może by tę sąsiadkę poprosić, tę z naprzeciwnka?

Paweł: *(z przekąsem i lekką irytacją)*

W życiu! I co jej powiem? „Pani kochana, szukaj, szukaj! O, jest trop!?”
Mateusz, myśl...

Mateusz:

Ale że co? Nie bywałeś zbyt często u dziadka to i teraz nie wiesz gdzie co miał...

Paweł:

Nie wiem, bo nigdy nic nie mówił, nie chciał, nie potrzebował. Zawsze mi mówił: „Pawełku, jak poczujesz tą Polskę w sercu, to ci wszystko opowiem...”

Mateusz:

Niby co?

Paweł:

A licho wie. Pewnie sam nie wiedział, o co mu chodzi. Był dziwny.
(Przez chwilę szukają obaj w ciszy, nagle Mateusz zaczyna recytować)

Mateusz:

„Lecz zaklinam – niech żywi nie tracą nadziei

I przed narodem niosą oświaty kaganiec;

A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,

Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!...”

(Paweł się prostuje, patrzy ze zdziwieniem na Mateusza, odgarnia włosy z czoła)

Paweł:

A ty co? Poetą zostałeś? Odbiło ci?

Mateusz:

Nie mnie, tylko nauczycielowi. Niedobrze mi się już robi od powtórek przed maturą, a na polskim jeszcze nam każą kuć przez to stulecie odzyskania niepodległości jakieś wierszyki o śmierci za ojczyznę... I kazali nam właśnie wykuć „Testament mój” Słowackiego...

Paweł:

A po co was uczył takich rzeczy? Blizna, krew, Ojczyzna, śmierć za Ojczyznę, paplanina. A później nie wiecie, jak się rozliczać ze skarbówką. (prycha)

....Oj, dziadek... Gdzie ty masz te papiery?!

Mateusz:

Tata, a tak naprawdę to dlaczego dziadek nigdy nie chciał być u nas na Wigilii? Już nie mówię, żeby z nami mieszkał, ale...

Paweł: (ostro, przerywa)

Powariowaliście z tymi pytaniami? Staruszek umarł a wy mi tu wiwisekcję robicie. Już matka zaczęła Mai pokazywać stare albumy i objaśniać, że ten, to ten, a tamta to ta...

Mateusz:

Ale dziadek był chyba spoko, nie? Pamiętam, że zabrał mnie parę razy na lody na Stare Miasto...

Paweł:

Gwoli ścisłości – to twój pradziadek, a mój dziadek... Może i był spoko, ale był dziwny. Nic nie gadał o sobie i w ogóle...

Mateusz:

To tak, jak ty...

Paweł: (zaskoczony)

Co?!

Mateusz:

No... Ty też raczej nic o sobie nie mówisz... Wiem tylko kiedy jesteś zdeenerwowany, bo

wydzierasz się na kogoś z firmy... Ale tak naprawdę nie wiem, jakich masz ludzi, kogo lubisz, komu ufasz, za co się na nich wydzierasz...

Paweł:

Słuchaj, synu... I na co by ci się ta wiedza przydała?

Mateusz:

Żeby unikać twoich błędów...

(Paweł milknie i patrzy przeciągłym spojrzeniem na Mateusza)

Akt III Scena 2

Do mieszkania dziadka Staszka docierają Ewa z Mają

Ewa: (zdyszana)

Uff, nareszcie jesteśmy. Korki o tej porze jak nie wiem co... A wy co? Czeemu macie takie grobowe miny?

Paweł:

No udał Ci się żarcik! (z przekąsem) W istocie, GROBOWE! Rzekłbym na-

wet... przedpogrzebowe, bo pogrzebu nie będzie jak dziadkowych papierów nie znajdziemy.

Ewa:

A szukaliście metodycznie? Szafka po szafce, szuflada po szufladzie? W łóżku, pod łóżkiem?

Mateusz:

A kto miałby trzymać dokumenty w łóżku?

Paweł: *(poirytowany)*

A lichy dziadka wie! Może miał siennik w którym nawet zaszywał złoto!

Maja:

A co to siennik?

Mateusz:

A... taki dawny materac z lkei. *(śmieje się)*

Maja:

Ale tu dużo starych rzeczy! Mogę pooglądać?

Ewa:

Możesz kochanie, możesz... tylko jak znajdziesz jakieś papiery, to od razu daj mnie albo tacie!

(Maja podchodzi do kredensu wyładowanego bez ładu i składu)

Paweł:

Jestem głodny jak diabli... słuchajcie, zamówmy coś!

Mateusz:

Pizzę! Z podwójnym serem!

Maja:

Ja chcę frytki!

Ewa:

Tu chcesz jeść?!

Paweł: *(z ironią)*

No, myślę że dziadkowi to chyba nie przeszkadza.

Ewa:

No dobrze, zadzwonię...

Maja: *(wskazuje na płyty winylowe)*

Co to jest?

Ewa:

To płyta do adaptera. Dawniej tak odtwarzało się muzykę...

Maja:

A co to adapter?

Paweł: *(pokazując adapter)*

To takie coś tutaj. O widzisz, tu się nakładało płyty, wciskało się przycisk,

a igła przesuwiała się po takich rowkach.

Maja:

Puść to tato, puść!

(Paweł majstruje przy adapterze i próbuje odtworzyć dźwięk. Po kilku trzaskach słychać fragment piosenki „Pałacyk Michla”)

Maja:

Fajne, podoba mi się!

(Igła przeskakuje i słychać fragment piosenki „Siekiera, motyka”. Maja zadowolona klaszcze w ręce. Kiedy piosenka cichnie, odzywa się Paweł)

Paweł: *(ze śmiechem)*

No, miał dziadek repertuar...

Mateusz:

No nie jest to może Despacito, ale też fajne!

(Ewa upada metalowy kubek dziadka)

Paweł:

Co to?

Ewa:

Nie wiem, jakiś metalowy kubek prawie upadł mi na stopę *(podnosząc go)*.
Strasznie ciężki...

Paweł:

Jak nie menażki, to inny złom... Pokaż!

(Ewa podaje Pawłowi kubek)

Paweł:

Cóż on za skarby w nim trzymał...?

(Paweł wysypuje z kubka zawartość na stolik. Wypada z niego brzytwa, pędzel do golenia i metalowe guziki)

Mateusz: *(zaskoczony)*

To dziadek się golił brzytwą?

Maja:

A co to brzytwa?

Mateusz: *(ze śmiechem)*

A to dla odmiany taka dawna golarka z Rossmanna!

Maja:

Mamo, on sobie ze mnie żartuje!

Ewa:

Mateusz, bądź poważny! Maju – to są rzeczy dziadka do których miał jakiś sentyment, dziś już nikt ich nie używa...

(Kiedy Ewa mówi, Mateusz zaczyna oglądać guziki)

Mateusz: *(zdziwiony)*

Tato , czy dziadek miał coś wspólnego z wojskiem?

Paweł: *(zaskoczony)*

Nie, chyba nie... Czemu pytasz?

Mateusz: *(pokazując guziki)*

To są guziki od munduru...

Paweł:

Pewnie jakaś pamiątka, wrzuc to do tego kubka z którego wypadły i szukajmy dalej.

Ewa: *(otwierając jedną z szuflad)*

Spójrzcie tutaj! Ta szuflada ma podwójną ściankę, coś tam jest!

(Paweł z Mateuszem wyjmują szufladę i wyciągają ze skrytki pliki papierów.

Przez chwilę

przeglądają je w milczeniu, po czym Paweł, w szoku, ściszone, zadumane głosem odzywa się do rodziny)

Paweł:

Zapakujcie to do pudła... Jedziemy do domu...

Akt IV Scena I

Paweł siedzi na kanapie. Wokół niego porozrzucone koperty, zeszyty, zdjęcia i dokumenty, spod nich wystaje biało czerwona opaska. Na stoliku, obok kubka z kawą stoi blaszany kubek z mieszkania dziadka. Paweł przegląda dokumenty ze zdumieniem i nostalgią. Ewa stoi obok kanapy, popijając kawę.

Ewa: *(cicho)*

Naprawdę nie wiedziałeś, że on był w AK?

Paweł: *(z żalem)*

A skąd miałem to wiedzieć?! SKĄD?! Czy wszyscy byli w AK? *(po chwili milczenia)*

...To tłumaczyłoby stosunek dziadka do mojego ojca... Że plugawił ideaty... że wyjechał do kraju najeźdźcy...

(Dzwoni telefon. Paweł machinalnie odbiera. Mówi spokojnym, innym niż zwykle tonem)

Paweł:

Nie teraz. I jutro też nie. Proszę przekazać klientowi dokumenty, a ja skontaktuję się z nim za parę dni. Nie. Jutro mnie nie będzie... i pojutrze też nie. Umarła mi bliska osoba. Ktoś bardzo bliski...

(Ewa przymierza na ramię opaskę AK)

Ewa: *(ściszone głosem)*

Boże... Jak mogliśmy być tak niedomyślni i ślepi. Jak mogliśmy pozwolić, żeby nasze dzieci nie poznały żywej historii z jego ust, nie takiej „papier-

rowej”...

Paweł: *(refleksyjnie)*

Wiem... w pierwszej chwili myślałem żeby na cito wyremontować mieszkanie dziadka dla młodego...

Ewa:

I?

Paweł:

Niech na razie wszystko zostanie tak, jak było, niech to do mnie przemówi...

(Paweł przytula się lekko do Ewy, mówi dalej z żalem)

Kocham was. Ciebie i dzieciaki. Najbardziej na świecie.

(Ewa uśmiecha się, zabiera kubki po kawie i wychodzi z pokoju)

Akt IV Scena 2

Paweł siedzi sam. Rozmyśla. Mówi sam do siebie, jakby rozmawiał z dziadkiem.

Paweł:

A więc taki byłeś... dumny, uparty człowieku... Bohaterze! Żyłeś, jak chciałeś. Ja żyję tak, jak inni, świat pędzi... U mnie nie ma już czasu na karmienie gołębi i prowadzenie dzienniczka...

(Przegląda jeszcze raz zeszyt)

Wieczna gonitwa. Widzisz, co to za czasy? Co byś powiedział, dziadku na to, że sam musiałem dojść do tego wszystkiego, co mam... Byłbyś ze mnie dumny? Stać mnie na apartament na strzeżonym osiedlu, dzieciaki jeżdżą na zagraniczne obozy, a Ewa chodzi do najlepszej kosmetyczki w mieście...

(Uśmiecha się z żalem, bierze do ręki zdjęcie dziadka i mówi do niego)

Nie mam pojęcia po co jej to, bo i tak jest ładna, ale niech tam...

(Patrzy w górę)

Ej, dziadku, jesteś tam?! No daj mi jakiś znak... Dlaczego nie poszliśmy razem na piwo na Stare Miasto, do parku, nad Wisłę... Dlaczego to durne życie jest takie wymagające... co ja mam robić?!

(Bierze w ręce blaszany kubek dziadka i nalewa do niego trochę wina, unosi go do góry w geście toastu)

(Głośno, prawie krzycząc)

Twoje zdrowie, staruszkule niezłomny!

(Bierze łyk wina, kładzie się na kanapie i zasypia)

Akt IV Scena 3

Półmrok. Obraz jak z końca poprzedniej sceny. Paweł jest sam w pomieszczeniu, śpi na kanapie. Dookoła rozrzucone papiery, a obok niego na stole stoi blaszany kubek dziadka.

Otwierają się drzwi, powoli wchodzi staruszek ubrany w powstańczy mundur z białą czerwoną opaską na rękę. Podchodzi do kanapy, pochyla się nad śpiącym.

Dziadek: *(spokojnie, z uśmiechem i czułością, recytując wiersz ks. Twardowskiego pt. „Rachunek dla dorosłego”)*

Jak daleko odszedłeś
od prostego kubka z jednym uchem
od starego stołu ze zwykłą ceratą
od wzruszenia nie na niby
od sensu
od podziwu nad światem
od tego co nagie a nie rozebrane
od tego co wielkie nie tylko z daleka ale i z bliska
od tajemnicy nie wykładanej na talerz
od matki która patrzyła w oczy żebyś nie kłamał
od pacierza
od Polski z raną

Ty stary koniu
(Światła gasną)
koniec

Aleksandra Orlikowska /Opole/ Nic się nie stało – czyli krótko o fizjologii duszy [Z. Herbert – „Przyjaciele odchodzą” z tomiku „Rovigo”]

Słowo od autora

*Chciałam zrobić Spektakl o tym nie nazwanym uczuciu
kiedy przyjaciel o którym myślałeś, że jego dusza miała taki kształt jak twoja.
Jakby Bóg ulepił was w tym samym stylu i guście. I nagle ten przyjaciel zupełnie naturalnie i zwyczajnie przestaje być ci bliski.*

ale pozostaje w tobie jakieś uczucie z tym rozstaniem.

W słowniku języka polskiego nie ma takiego słowa, które je opisuje ale jest wiersz Herberta.

„Pan Cogito na zadany temat: „Przyjaciele odchodzą” z tomiku „Rovigo”. I jakoś ten wiersz zarezonował, zabrzmiał we mnie i w ten sposób powstał ten tekst.

Tekst troszkę o odchodzeniu

*O tym co w nas zostało. To czym zbudował, ubogacił nas drugi człowiek
dusza w duszę.*

trochę też o ludziach starych

*trochę o nieponazywanych miłościach, nieokreślonych zakochaniach które
nigdy nie rozkwitną*

*o miłościach która nawracają się na przyjaźń. Które początkują trudne ale
piękne relacje*

Fascynacje

o tym jak relacje budują nas

o byciu bliskim tylko na chwilę

noszeniu w sobie smutku

tęsknocie do czegoś czego nie znamy, nie doświadczyliśmy

o starości i o Bogu mieszkającym w kamienicy

i o takiej pogańskiej religijności ludzi prostych.

*Spektakle robi się z jakiejś potrzeby. I mam wrażenie, że powstał jeszcze nie-
doskonały tekst, bardzo otwarty, pretensjonalny, proszący się wręcz o zmiany.*

*Miałam zbyt mało czasu żeby go jeszcze nasycić, przesylić znaczeniami i kon-
tekstami, dlatego jest jeszcze niedoskonały.*

*Czuję że gdybym ze świeżą głową wróciła do niego za miesiąc był by dużo
lepszy.*

*Scenariusz bez wyraźnego zawiązania akcji, bez momentów kulminacyjnych,
dlaczego? Dlatego, że tak jak w życiu rzadko kiedy dzieją się rzeczy spektaku-
larne. Ten spektakl jest tym o czym opowiada. Niczym specjalnym i wielkim.
Bo przecież nic się w nim nie stało.*

POSTACIE:

Nasz główny bohater – czyli ten ewangeliczny zasmucony młodzieniec.
Który za chwilę spóźni się na pociąg.

Bóg

Anioł Stróż – czyli przykład anioła który się nie sprawdził i Bóg nie wiedząc co zrobić z takim duchem niebieskim postawił go jako dozorcę kamienicy

Trzech Panów – którym trochę w życiu nie wyszło

Pan Marian – który spóźnia się na wieczorne spotkanie, jak sam mówi nie zawsze mu było po drodze, on wie gdzie można dostać ciepłą zupę albo dobry, gruby karton

Pan Staszek – który nie pamięta już dokładnie ile ma lat w każdym razie dużo i On wie o co chodzi

Pan Jacek – któremu od nie dawna mu w życiu nie wychodzi

Sąsiadka

Modern-Maryjka – czyli figura w neonowych światłach stojąca w kapliczce obok kamienicy

Mieszkańcy kamienicy

Ta kobieta – która zestarzała się już wcześniej

Ta kobieta – która miała marzenie

Ta kobieta – która poczuła wszystko

Ta kobieta – która się odkochuje

Para nieszczęsnych kochanków:

Czyli kobieta z warzywniaka

I mężczyzna z firmy budowlanej

Kobieta – która prawie zrozumiała

Anioły

Akordeoniści

Miejsce gdzie dzieje się spektakl, czyli tam gdzie nic się nie stało.

Widzimy podłg kamienice od strony podwórka. Ona jeszcze pamięta czasy świetności pięknych pań i panów, którzy wracali pod rękę z filharmonii, rozmawiając o pięknych rzeczach. Kamienica pamięta te czasy, ale ma je już dawno za sobą. Odpadły tynk ukazuje czerwone cegły. Upadła kamienica, w której mieszkają specyficzni mieszkańcy. Widzimy mnóstwo okien, każde inne, niektóre mające franki inne dziury wybite kamieniami. W jednych oknach rośliny doniczkowe w innych obrazy. Te okna już dużo mówią o mieszkańcach. Chciałabym żeby na framugach okien, był napisany kredą wiersz „Mieszkańcy” Tuwima. O ścianę jest oparty rower. Jest też gdzieś tam zaparkowany Niebieski

garbus. W rogu znajduje się kapliczka z Najświętszą Panią w neonowych niebieskich światłach. I w tym samym rogu znajduje się też ławeczka dla panów, którym życiu trochę nie wyszło. Jest jeszcze Anioł Stróż, który jest częścią tej kamienicy.

I jest jeszcze drugie miejsce wydarzeń. Mieszkanie, a w zasadzie pokój. A w zasadzie to jest przestrzeń gdzie jest stół, regały, mnóstwo książek na stole, dwa krzesła, gramofon, kanapa/fotel. Jest to przestrzeń Naszego głównego bohatera.

Ale bardzo ważne są dla mnie światła w oknach. Oświetliłabym scenę dodatkowo żaróweczkami wiszącymi spod sufitu, najlepiej ruchomymi. Ciepłe światło. A gdzieś na scenie położyłabym świeczki, latarenki.

Cały czas słyszymy muzykę, dźwięki grane przez kamienice, krzyki, tłuczone talerze, woda w rurach i akordeony.

Cały spektakl w kolorze muzyki akordeonów.

Scena pierwsza

Ciemność rozświetla nam punktowe, okrągłe ciepłe światło.

Pojawia się. Wychodzi z cienia i staje w plamie światła, młody mężczyzna w płaszczu i kaszkiecie (może mieć takie okrągłe okulary) ma ze sobą walizkę a pod pachą gazetę albo tomik poezji. Staje chwilę patrzy po widowni smutnym wzrokiem i wychodzi szybkim krokiem w ciemność.

Światło gaśnie.

Scena druga

Zapalają się światła w oknach kamienicy, zapalają się powoli, oświetla nam się ciepłym światłem cała scena. Naszą historię zaczynamy na ławce panów, którym w życiu trochę nie wyszło.

W czasie wszystkich dialogów słyszymy dźwięki kamienicy, przebijając się co jakiś czas przez muzykę akordeonów. Oraz przez cały czas widzimy mieszkańców kamienicy wchodzących i wychodzących.

(Dużo ciszy i czekania w tym dialogu)

Pan Jacek:

– Robi się coraz zimniej, a tego jak nie ma, tak nie ma.

Pan Staszek:

– Skup puszek dzisiaj do 18 otwarty, pewnie się zagadał z Kazkiem albo jeszcze o monopolowy zahaczył.

Pan Jacek:

– A pies go trącał, ale jak się człowiek umówił to wypadałoby być na czas,

a zresztą...

(cisza)

Pan Staszek:

- Dziwna ta pogoda. Raz pada a raz nie, jakby nie mogło się zdecydować! Tak, mżawka jest najgorsza, mam już sweter cały przemoczony.

Pan Jacek:

- Zimno jak pieron. Jak w nocy będzie przymrozek to trza będzie pójść na dworzec. Chyba nas nie wygonią.

Pan Staszek:

- Zawsze na dworcu było jeszcze trochę miejsca bo w przytułku to nie wcisnąłbyś nawet patyka. Teraz robi się bardzo szybko ciemno.

Pan Jacek:

- No szast prast i już ciemno jak w d...

(Pan Staszek nie daje mu skończyć, przerywa w pół słowa)

Pan Staszek:

- No, no...

(Zza kulis do parku wkracza pan Marian z kocem pod pachą i brudną me-
nażką w ręku)

Pan Marian:

- Witam, witam panów.

Pan Staszek:

- W końcu jest.

Pan Jacek:

- Cóż za punktualność...

(Wymieniają męski uścisk dłoni, witają się)

Pan Marian:

- Panowie, dajcie się wytłumaczyć. Franciszkanie święci ludzie, zupę roz-
dawiali to aż żal było nie skorzystać.

Pan Jacek:

- A dla kolegów to już wziąć nie mogłeś?

Pan Marian:

- Wiecie, no jakoś nie wypadło ale patrzcie (pokazuje na koc który
miał pod pachą) co znalazłem, tam na śmietniku, tu zaraz obok na rogu
Krakowskiej.

Pan Staszek:

- Tam gdzie zawsze siedzi Marek?

Pan Marian:

- No tak, właśnie tam.

Pan Jacek:

- Ciepłej przynajmniej będzie.

Pan Staszek:

- No bo wszystko przemoczone od co!

(Siadają na ławce, siedzą przez chwilę, próbują się jakoś przykryć tym kocem. Po chwili Pan Jacek zza pazuchy wyciąga flaszkę i upija spory łyk i podaje kolegom)

Pan Jacek:

- No to za spotkanie.

Pan Marian:

- Za spotkanie i takich prawdziwych kolegów.

Pan Staszek:

- Dajcie dzisiaj z tym spokój, mam coś lepszego.

(Wyciąga z torby bazarowy którą miał pod ławką termos pełen ciepłej herbaty)

Pan Marian:

- Ooo!!!

Pan Jacek:

- Jakim cudem?

Pan Staszek:

- Taka dobrodziejka dała i pomyślałem, że się z wami podzielę.

Pan Jacek:

- Kiedy ja ostatnio prawdziwą herbatę piłem?

Pan Marian:

- A dobra herbata nie jest zła...

Pan Jacek:

- Wygląda prawie jak whisky.

Pan Staszek:

- A ty zawsze o tym samym.

(Nastaje krępujący moment ciszy, konsumpcja herbaty)

Pan Marian:

- Zimno dzisiaj.

Pan Jacek:

- No faktycznie.

Pan Staszek:

- Zimno.

Pan Jacek:

- Mówiliśmy już...

Pan Marian:

- Że zimo?

Pan Staszek:

- No, że zimno.

(Pojawia się Dozorca kamienicy – zmęczony Anioł Stróż o ogromnych brudnych anielskich skrzydłach i zaczyna zamiatać liście przed kamienicą. Mówi jakby do siebie)

Anioł Stróż:

- I co, ciągle pretensje że liści nie posprzątał. Posprzątał, nie posprzątał. A ja mu mówię Panie jesień jest i liście spadają. Tak to działa, drzewa – jesień – liście. Nie moja wina. Ja mam inne zajęcia a nie ciągle tylko zamiatać. A pani spod 6-tki się bulga, że krany. A czy to moja winna że ciekną? Ciekną i będą cieknąć a ja liście zamiatam.

(dalej zamiata już tylko mamrocząc pod nosem)

- A tu jeszcze jakiś gówniarz zostawił rower wezmą, ukradną i tyle będzie. (Siada na nim i robi kółko po scenie)

Pan Marian:

- Kierowniku, spokój, nie ma się co denerwować.

Pan Jacek:

- Spokój, tylko spokój może nas uratować

Pan Marian:

- O tak, tak, święte słowa.

(Anioł Stróż siada przy nich na ławeczce)

Pan Staszek:

- Liście przecież panu nie uciekną.

Anioł Stróż:

- Ano nie uciekną.

Pan Marian:

- To po co się ta pocić?

Anioł Stróż:

- A co ja panom powiem to panom powiem, ale cała to robota to tylko i wyłącznie czyste asystowanie przy ludzkim cierpieniu. Słuchania tego wszystkiego przy naprawianiu kranu. Nie o taką robotę się proszę. Ja rozumiem że Anioł Stróż. Ale nie stróż kamienicy. A tu nikt nie pytał czy bym może wolał pilnować zagubionych duszyczek. Nie, dali miotłę do ręki i heja... do roboty.

Pan Marian:

- Kierowniku, pan się z nami napije...

Anioł Stróż:

- Nie, nie panowie, nie to zdrowie, nie ta wątroba.

(pije z nimi)

– Ja w zasadzie to powinienem was wyrzucić bo psujecie wizerunek naszej kamienicy.

Pan Jacek:

– Ale pan tego nie robi, panie kochany?

Anioł Stróż:

– Oczywiście że nie, zdrowie panowie!

Panowie:

– Zdrowie!

(Akcja rozwija się sama, panowie piją herbatę i nie tylko, rozmawiają, śpiewają, żartują, od razu widać że Anioł Stróż nie jest przykładem anioła, że takiego raczej na malowidłach kościelnych to się nie znajdzie, ale przynajmniej ma lepszy humor dzięki ludzkiej rozmowie z panami)

Scena trzecia – poznajemy Boga i człowieka

Przenosimy się do mieszkania smutnego młodego człowieka w płaszczu naszego bohatera on już ściągnął płaszcz i kaszkieta układa i przekłada stosy książek, które leżą na stole, stoi też tam gdzieś jakiś gramofon, słychać dobrą muzykę. Przychodzi do niego troszkę niezauważony Bóg – normalny młody mężczyzna, dobrze ubrany, z hipsterską brodą, ściąga buty siada na kanapie ma urocze skarpetki główny bohater go nie zauważa jest zdziwiony, jakby to było zupełnie normalne

Nasz główny bohater:

– Zrobię Ci herbaty.

Bóg:

– Takiej jak zawsze?

Nasz główny bohater:

– Tak, takiej jak zawsze. Nigdy nie mogłem się temu nadziwić że Bóg sładzi herbatę.

Bóg:

– Czarna z cukrem, nie odmówiłem sobie nigdy tej odrobiny przyjemności. (Nasz bohater krząta się, przygotowuje herbatę, układa książki, zbiera się w sobie, przynosi herbatę. Bóg nastawia gramofon przegląda płyty, zbiera z podłogi rozrzucone książki)

Nasz główny bohater:

– Wiesz co, za długo się zasiedziałem, zbyt dobrze mi tu było. Patrz ile książek nazbierałem przez te lata.

Bóg:

– I co chcesz z nimi zrobić?

Nasz główny bohater:

- Nie wiem jeszcze, wszystkie nie zmieszczą się do walizki.

Bóg:

- Ach tak, zapomniałem zawsze tak samo – dwie walizki płaszczy i kaszkiety i nic więcej.

Nasz główny bohater:

- Tak. Nie wiem, książki religijne i biblię rozdaję dzieciom, wiersze spalę, a ze sobą wezmę tylko Bułhakowa, Dostojewskiego i baśnię.

Bóg:

- Przykro mi, że to już teraz.

Nasz główny bohater:

- A mi nie. Przecież wiedziałeś, że tak będzie.

Bóg:

- Przyzwyczałem się głupi i jakoś mi tak smutno.

Nasz główny bohater:

- Moja dusza taka jest ciągle niespokojna, przecież ty wiesz to najlepiej.

Bóg:

- I z kim ja będę chodził teraz do teatru?

Nasz główny bohater:

- Ja też to bardzo lubiłem.

Bóg:

- I było dobrze rozmawiać potem...

Nasz główny bohater:

- Lubiłem przychodzić do ciebie na ciasto, bo nadal to będę powtarzać że pieczesz świetnie.

Bóg:

(uśmiecha się)

Nasz główny bohater:

- A może zostawię tobie kilka? (pokazuje na książkę) Lubisz Różewicza?

Bóg:

- Lubię.

Nasz główny bohater:

- Tylko dwie walizki i sznurek, żeby je związać bo wysłużone zamki już nie trzymają. Pamiętasz na jakim to było dworcu?

Bóg:

- W Gdańsku.

Nasz główny bohater:

- Ach tak, w Gdańsku puściły zamki i wszystko się rozsypało.

Bóg:

- Tak, tak

Nasz główny bohater:

- Przecież możesz jechać ze mną.

Bóg:

- Wiem, ale ja nie lubię być tak ciągle w biegu, ja wolę tak statycznie.

Nasz główny bohater:

- Wiem i tu się różnimy.

Bóg:

- Będziesz mi zawsze wysyłał kartki?

Nasz główny bohater:

- Już ci się nie mieszczą przecież na lodówce. Oczywiście, że będę ci wysyłał z każdej podróży i na święta, a ty będziesz mi wysyłał paczki z piernikami.

Bóg:

- Dobrze.

Nasz główny bohater:

- Muszę jeszcze zanim wyjadę zacerować kilka dziur w płaszczu.

Bóg:

- Daj ja to zrobię.

(Bierze powieszony na jednym z krzeseł wysłuchony płaszcz, bierze zestaw do szycia i ceruje dziury w płaszczu)

Nasz główny bohater:

- Już wiem co ci kupię na święta.

Bóg:

- Co?

Nasz główny bohater:

- Kaszkiet.

Bóg:

- Po co mi? Mam swój kapelus.

Nasz główny bohater:

- Wiem, ale kaszkiety są lepsze.

Bóg:

- Nieprawda.

Nasz główny bohater:

- A poza tym w twoim kapeluszu jest już kilka dziur.

Bóg:

- Bardzo go lubię.

Nasz główny bohater:

– Pamiętasz jak ostatnio padało i strasznie przemokłeś?

Bóg:

– Bo trzeba było nosić parasol.

Nasz główny bohater:

– Bo ty po prostu musisz wyeksmitować mole z twoje szafy, raz a porządnie.

Bóg:

– Na nie potrafię, one też gdzieś muszą sobie żyć.

Nasz główny bohater

– A ja po prostu kupię ci kaszkiet.

Scena czwarta – Modern-Maryjka

Przenosimy się do panów na ławkę. Podchodzi starsza pani Sąsiadka w czerwonym berecie, w płaszczu. Typowa starsza pani, ale uśmiechnięta.

Sąsiadka:

– Dzień dobry panom.

(Jak na dobrze wychowanych dżentelmenów panowie wstają lekko uchyłają rondo czapek witając kobietę)

Pan Staszek:

– Dzień dobry sąsiadce.

Sąsiadka:

– Co też panowie tak tu siedzą, tak dzisiaj zimno.

Pan Marian:

– Pani kochana, w takim towarzystwie nie jest źle.

Pan Jacek:

– Nawet zimno nie przeszkadza.

Sąsiadka:

– Ach no tak. Ja w tej sprawie właśnie, tylko nie do panów a do... Bo tu taka kapliczka. Ja właściwie to do Maryjki.

Anioł Stróż:

– Ach, no tak.

Sąsiadka:

– Bo ona tak tu sama stoi, ani do kogo gęby otworzyć. Nic powiedzieć, bo to wszyscy ludzie tacy zabiegani, nikt nie podejdzie, nie zagada. To ja pomyślałam że jej przyniosę Czarną Madonnę Częstochowską żeby sobie baba z babą poplotkowały.

(Sąsiadka podchodzi do kapliczki Modern-Maryja, czyści, przeciera figurę i kładzie obok ikonę przodem do figury. Panowie lekko zdziwieni, ale po-

mysł im się podoba)

Pan Marian:

– No i dobrze pani zrobiła, nie ma co.

Pan Jacek:

– Kto by pomyślał...

(kobieta zadowolona z siebie z uciechy prawie klaszcze w ręce)

Sąsiadka:

– No. To może ja się na chwile do panów przesiądę. Co tam słysząc panie Józku? (zwraca się do Anioła Stróża)

Anioł Stróż:

– A jakoś żyjemy. Takie żyćko.

Sąsiadka:

– To dobrze, dobrze bo u mnie drzwi się nie chcą zamykać. Pan przyjdzie, spojrz, dobrze?

Anioł Stróż:

– Dobrze pani Mario.

Pan Staszek:

– A ja sobie właśnie pomyślałem, że skoro ta Maryjka i tak stoi tu sama przez cały rok to może i jej jest zimno. Tak jak nam.

Sąsiadka:

– Może i tak być, ja nie wiem.

Pan Staszek:

– Nie zaszkodzi jak ja jej swój szalik założę.

(zdejmuje swój szalik, podchodzi do kapliczki i zakłada figurze na szyję)

Pan Staszek:

– Co by jej nie było zimno

Anioł Stróż:

– Dobrze pan zrobił.

Sąsiadka:

– Ja już będę uciekać. Niech się panowie trzymają ciepło.

Panowie i Anioł Stróż:

– Dobrze, dobrze. Do widzenia.

Scena piąta

Po odejściu Sąsiadki, panowie dalej cicho rozmawiają, Stróż idzie zająć się swoimi sprawami.

Przy murze kamienicy przechodzi już któryś z kolei mieszkaniec czy mieszkanka Kamienicy. Światło nagle zwięza się i jak reflektor policyjny kieruje się w stronę przechodzącej kobiety. Inne światła gasną.

(I z off-u pada pytanie)

- A ty?

- A ja? Ja Maria, ale zawsze tylko Marysiu i Marysiu.

Zawsze to wyglądało w ten sam sposób. Marysiu to, Marysiu tamto, pomóż pani Basi i pani Stasi i jeszcze pani Bożenka prosiła żebyś....

Więc ja chodziłam i nosiłam zakupy, i zostawałam na te 5 minutek i słuchałam.

- O pani kochana jak to boli

- O jak mąż mnie szanował jak byliśmy młodzi, jak szanował...

- O jak to masło podróżowało...

- O jak to trzeba być, wie pani jak, tak obrotna ...

- O jak, jaki skarb że pani jest, że pani Marysiu jest.

- I niech tylko sobie pani życia nie spieprzy...

Żeby sobie pani życia nie spieprzyła, bo potem się patrzy jak stoją te idiotki pod tym „pewniakiem” i jedna do drugiej pokazuje jak to mąż ją zdradził, pobił i jeszcze dzieciaka zrobił, ot co!

I ja słuchałam tego wszystkiego odkąd byłam jeszcze młodą dziewczyną, i pomagałam sprzątać te mieszkania. Bo to tak dobrze komuś powiedziec

- nie spieprz sobie życia a nie pluć się w ścianę. Prawda?

Nigdy nie zapomnę jak...

Ja to do dziś mam przed oczami jak pani Lucyna spod dwójki mnie zawołała i poprosiła o pomoc, taka skrępowana jakby swoją ułomnością, że nie umie już sobie sama rajtuz założyć.

I wtedy uklęknęłam przed nią jak gdyby przed małym dzieckiem, wzięłam z jej rąk rajtuz i delikatnie, żeby jej broń boże nie uszczypnąć, naciągałam bardzo powoli rajtuz na jej spuchnięte nogi.

Moja mama zawsze mnie szczypała kiedy to robiła, tak mnie to bolało.

I jej chyba było z tym niezręcznie, że ja nie śpieszyłam się tak jak dziewczyny z hospicjum, które czasem do niej przychodziły.

I jak już ubrałam ją to pokazała mi album rodzinny, ale nie wyciągnęła żadnego zdjęcia ale liść klonu, który dał jej mąż na pierwszej randce.

Pomagałam wyprowadzać pasa takiej pani Jasi z klatki C i ona zawsze jak do niej pukałam mówiła tak:

- Jedz Marysiu, jedz bo wojna będzie, bo wojna będzie, wojna będzie

A żadnej wojny nie było, a ja żyłam jakby miała zaraz być i co prawda

nic się nie stało

ale trochę ciężko jest tańczyć, pić na imprezie z przystojnym chłopakiem

kiedy ma się z tyłu głowy słowa:

Tylko sobie życia nie spieprz – tak jak ja...

Ja właśnie wracam, byłam na grobach zaniostałam kwiaty pani Helence...

(Kobieta jak gdyby nigdy nic wchodzi do kamienicy, światło wraca do normalnego jakby nic się nie stało, panowie dalej rozmawiają)

Scena szósta

U panów na ławce dialog trwa.

Pan Jacek:

– Wiecie co? – Ja miałem kiedyś dziadka, taki facet przedwojenny był. Taki nie w swojej epoce i pamiętam, zawsze mnie brał na spacer do老子arni a jak opowiadał o babci o piłce kiedy jeszcze polska grała dobrze.

Pan Marian:

– Takich mężczyzn teraz nie ma...

Pan Jacek:

– Ale chodzi mi o to, że jest we mnie taka tęsknota za jego prostymi plecami i tym, że kobietom zawsze drzwi otwierał.

Scena siódma

W czasie poprzedniego dialogu przez scenę przechodzi pochód wielu postaci w białych szatach z ogromnymi skrzydłami. To są anioły na spacerze.

Scena ósma

Panowie dalej cicho rozmawiają. Anioły zniknęły. Przy murze kamienicy przychodzi już któryś z kolei mieszkaniec czy mieszkanka Kamienicy. Światło nagle zwręży się i jak reflektor policyjny kieruje się w stronę przechodzącej kobiety. (I z off-u pada pytanie)

– A ty?

– A ja? Ja Maria, ale o tym to już nikt nie pamięta.

Bo ja słyszę tylko:

– Czego ty babo chcesz!?

– Jaki bilet?!

– Nie dotykaj mojego samochodu, nowy lakier!

– Nie będę płacił, parking mi się należy!

– Idź sobie! – jaki bilet?!

A ja do niego mówię:

– Popatrzcie tam w niebo, jaki piękny – jak leci – jak wysoko.

– Nie mam czasu.

– Dawaj ten bilet!

I pokazuje, a oni w ogóle nie chcą mnie słuchać.

- Na niebie, w górze leci wysoko...

Ci ludzie zainteresowani są tylko tym jak wyjechać z parkingu i widzę czasem w ich oczach, nie są chyba tego świadomi jak to widać, jak widać ich pogardę wymalowaną w drobnych drgnieniach twarzy i myślą to samo, pewnie jesteś sobie babo winna, trza było iść na studia, szukać dobrej pracy, pchać się tak jak wszyscy.

Pchać się trza, i to trzeba umieć, jak najwyżej, jak najdalej.

Jak to, jesteś zadowolona z tego co masz?! Nie możesz, nie powinnaś, bo tak trzeba. Szybciej, szybciej bo będziesz zaraz tam na szarym końcu.

A teraz co? Jesteś stara i co? Nie masz emerytury to sobie zarabiaj na parkingu, ot co.

Samaś sobie winna

a ja, nie jestem tu bo chciałam, i nie mam problemu z tym, że jestem parkingową.

Nie jest to dla mnie problem, że nie mam pieniędzy żeby opłacić mieszkanie po rodzicach,

mam problem z pogardą na ich twarzach.

I ot co - takie życie. Ciężko, bo ciężko, powoli pora umierać, tylko tak smutno mi na duszy, bo nigdy nie spełniło się moje marzenie.

Bo co? W końcu że parkingowa nie może mieć marzenia?

Może.

I miała jedno.

Wielkie, zawsze od kiedy pamiętam chciałam polecieć balonem.

I kilka razy w życiu widziałam balony, ale nigdy nie poleciałam.

I nic się nie stało.

Ale nikt teraz takiej starej nie weźmie.

(Pokazuje ręką w niebo i mówi z dziecięcą radością)

- Popatrzcie tam w górę...

- Tam wysoko...

- Leci, leci...

- Tam na niebie...

(kobieta wchodzi do kamienicy, światła wracają do poprzednich, życie toczy się dalej)

Scena dziewiąta

Wracam do mieszkania głównego bohatera.

Bóg:

- Wiesz co, tak szczerze ci powiem, że w sumie to ja zawsze chciałem

mieszkać w bloku.

Nasz główny bohater:

– Serio panie Boże? (uśmiecha się z zaskoczeniem, zapala papierosa)

Bóg:

– Oczywiście

Nasz główny bohater:

(uśmiech)

Bóg:

– Wiesz, w takiej wielkiej szarej płycie postkomunistycznej.

Nasz główny bohater

– W takim malutkim mieszkanku?

Bóg:

– No jasne. I to najlepiej na kredyt.

Nasz główny bohater:

– Z zaciskającą się pętlą kredytową na szyi?

Bóg:

– Tak, i wiesz co? To by było dopiero coś. Kiedy kąpał bym się, to sły-
szałbym sąsiadów którzy się kłóca, na dole na podwórku bawiła by się
gromada dzieci. Chciałbym czasem do nich zejść i pobawić się z nimi, ale
raczej bym tego nie robił, bo dorośli patrzyliby na to krzywo, że taki chłop
jak ja, a z dziećmi się bawi.

Nasz główny bohater:

– Widzę to. Wszystkie sąsiadki zachwycałyby się ze taki miły i uczynny
sąsiad, zawsze zakupy pomoże wnieść na czwarte piętro i dobry wieczór
odpowie

Bóg:

– Tutaj też odpowiadam.

Nasz główny bohater:

– Odpowiadasz.

Bóg:

– Tylko ci z naprzeciwnka mieliby czasem pretensję, że ciągle coś poży-
czam, to szklankę mąki, to cukru, bo zawsze zapominam kupić zanim się
zajmę pieczeniem.

Nasz główny bohater:

– Fakt, upierdliwy z ciebie sąsiad. Ale uwielbiam, kiedy wchodzę do klatki
i czuję taki piękny zapach, szarlotki albo piernika...

Bóg:

– A właśnie, dobrze że mi przypominasz, muszę upiec ci sernik zanim wy-
jedziesz już na dobre.

Nasz główny bohater:

- Spotkamy się przecież.

Bóg:

- Taki dobry sernik.

Nasz główny bohater:

- Myślę, że gdybyś faktycznie mieszkał w bloku to ci spod piątki myśleliby że jesteś gejem.

Bóg: (uśmiecha się)

- Prawda. Zawsze bosko ubrany.

Nasz główny bohater:

- Nie rozumiem, skąd u ciebie ta chęć, te obrzydliwe bloki...

Bóg:

- One mają w sobie jakiś nie przemierzony mikrokosmos własnych znaczeń i tyłu jest tam ludzi.

Nasz główny bohater:

- Tak, tak. Już mi opowiadałeś o tym.

Bóg:

- I kiedy bym tam mieszkał byłbym ciut bliżej nich.

Nasz główny bohater:

- Ale żeby w bloki, za grosz poczucia estetyki.

Bóg:

- Już wystarczy tych gotyckich katedr.

Nasz główny bohater:

- Pamiętasz jak opowiadałem ci o Florencji? O tych bazylikach?

Bóg:

- Nie chciałem ci wtedy studzić zapału, ja byłem przy tym. Przy każdym pociągnięciu pędzla mistrzów.

Nasz główny bohater:

- Wiem, wiem, ale to nie zmienia faktu, że ten obraz mnie w jakiś sposób napełnił, nauczył piękna, więc boli mnie to, że wolisz mieszkać w bloku.

Bóg:

- Nic na to nie poradzę.

Nasz główny bohater:

- Ale musisz przyznać, że takie stare kamienice też mają coś w sobie.

Bóg:

- Za wielu tu pokrzywdzonych ludzi, wariatów.

Nasz główny bohater:

- Ale te stare kamienice są jak stare podupadłe teatry.

Bóg:

– Za często używasz tej metafory.

Scena dziesiąta

(Światła przygasają)

Prowadzą anioła – dwóch agresywnych mężczyzn prowadzi kobietę w białej szacie w skrzydłach, przeciąga ją po scenie, ona pokornie idzie z nimi. Zostawiają ją gdzieś z boku i odchodzą w cienie. Ona czeka spokojnie nieświadoma, widzimy że ona jest niewidoma.

Po chwili podchodzą do niej od tyłu jej oprawcy i wylewają na nią kubły farby.
(Blackout)

Scena jedenasta

(Światło powoli oświetla naszą kamienicę)

Nikogo nie ma, nie ma panów na ławce. Przed kamienicą jednak stoi dwóch uśmiechniętych dziadków grających na akordeonie. Z czapką zbierają drobniaki i grają pienie.

(Blackout)

Scena dwunasta

(Światło wraca do normalnego, ciepłego oświetlenia naszych bezdomnych)

Pan Staszek:

– Wiecie co pożąda upadła kamienica? Nie byłaby upadłą kamienicą bez pary kochanków.

Pan Jacek:

– Racja.

Pan Marian:

– U nas się jeszcze nikt nie zabił z miłości.

Pan Jacek:

– Jeszcze...

Pan Staszek:

– Jacek, weź to wypluj!

Pan Marian:

– Jesteśmy już upadłą kamienicą. Trzy lata temu był tu trup.

Pan Staszek:

– Ale nie z miłości, a przecież nasza historia miłosna zaczęła się raczej niewinnie

(na scenie pojawia się dwójka starych brzydkich ludzi)

Mężczyzna:

– Zgubiła coś pani.

Kobieta:

- Co?

Mężczyzna:

- Uśmiech. Niech no się pani uśmiechnie.

Pan Staszek:

- I ona uśmiechnęła się do niego.

- Cała ich tragedia polegała na tym, że mieszkali w tej samej kamienicy. I jak ma kwitnąć miłość romantyczna, skoro kochankowie nie mogą słać sobie perfumowanych listów i czekać dniami z tęsknotą na odpowiedź? Nie mogą, bo są sąsiadami. W brzydkiej upadłej kamienicy. Mieszkańcy takich okolic nie chodzą do teatru, nie rozmawiają o obrazach. On pracował w firmie budowlanej, a ona w warzywniaku.

(i w tym momencie na scenę wbiega kobieta, która już prawie zrozumiała)

- To miało być bardzo proste, tak powiedział mi tamten ksiądz.

Stoi jeden mężczyzna, młody ze spojrzeniem jakiego dotąd nie znał nikt. I do niego podchodzi drugi, zwyczajny szary i pyta. Ten pierwszy jest już w nim zakochany i to po uszy po grób (histeryczny śmiech). Tak przecież ksiądz mówił i mimo, że ten pierwszy wiedział już wszystko, to przecież był zawiedziony, rozczarowany. Nie, to nie jest dobre określenie, nie, on był smutny

dusza go bolała i nic, i nic nie mógł z tym zrobić. Ale czy on miał duszę? Czy ona miał duszę?

(i tutaj kobieta zbiega, a kochankowie kontynuują dalej swoją opowieść)

- I co prawda nic się nie stało, ale kochankowie mijali się na klatce schodowej, mówili sobie dzień dobry schnąc z miłości, nie wiedząc o tym. I tak pewnie umrą samotnie kochankowie. A kamienica nigdy nie dowie się o ich wielkiej miłości?

(przez Scenę pod kamienicą przechodzi para naszych kochanków pod rękę pod jednym parasolem)

(i znów przebiega ta sama kobieta co wcześniej i zwraca się do panów na ławce)

Kobieta:

- Nic nie rozumiem, bo ten smutny młodzieniec i Bóg...

I przecież w nim musiała być wtedy taka ludzka emocja, taka jak w ludziach, ale przecież nic się nie stało.

Pan Jacek:

- Może pani z nami usiądzie?

Kobieta:

Nie, nie mogę, muszę już iść.

Pan Marek:

– Gdzie się pani tak śpieszy?

Kobieta:

– Ja muszę iść jeszcze zrozumieć kilka rzeczy.

Scena trzynasta

(panowie dalej cicho rozmawiają)

Przy murze kamienicy przychodzi już któryś z kolei mieszkaniec czy mieszkanka Kamienicy. Światło nagle zwęża się i jak reflektor policyjny kieruje się w stronę przechodzącej kobiety.

(I z off-u pada pytanie)

– A ty?

– A ja? Ja Maria. Jezus Maria jak mnie ten łeb boli. Lekarz powiedział mi tak:

– Pani nie może tylu leków brać, bo pani wątroba nie wytrzyma. Ja rozumiem że głowa boli, ale niech pani pije więcej wody lepiej śpi chodzi na spacer.

I ja go absolutnie rozumiem, ale czuję w sobie jakiś taki niepokój i to już nie o to chodzi, że mnie głowa. Ale co miałam powiedzieć – podziękowałam.

On się tylko uśmiechnął, poklepał po plecach i jakby z nadzieją mówił:

– Pani Aniu, będzie dobrze, będzie dobrze wszystko, będzie dobrze będzie dobrze...

– Nic nie jest dobrze, bo ja ciągle czuję ten niepokój, a na to nie można wziąć leku

nie ma tabletki

wróciłam do domu, posprzątałam ugotowałam i nic

położyłam się spać i poszłam do pracy i zjadłam obiad i nic

i poszłam spać i poszłam do pracy

i wróciłam do domu

i po jakimś czasie da się chyba przyzwyczaić do tego niepokoju, on po prostu w ciebie wrasta i jest częścią twojej kawy, twojej pracy

nie, nie polubiłam go, jest za ciężki żeby się z nim zaprzyjaźnić, ale i tak krokiem w przód jest to, że go akceptuję

niepokój we mnie

i tak jak lekarz zalecił, chodziłam na spacer co wieczór i chyba najpiękniej bywało jesienią, wtedy czułam, że nie jestem tak pusta, że obok mojego niepokoju pojawia się piękno, które próbuje mnie wypełnić i tylko jesiennym światłom udawało się to zrobić

nic nie czułam w kinie, galerii, nic nie czułam rozmawiając z kimkolwiek,

nic
żadne uczucie, tylko ten niepokój
czy to możliwe, czy ja się kiedykolwiek w kims zakocham, takie myśli pojawiały się częściej jak byłam młodsza teraz nic, nic nie ma we mnie, tylko ten niepokój
i idę spać, potem idę do pracy gotuję obiad
idę do pracy, wracam idę spać
idę do pracy, wracam gotuję śpię
i któregoś jesiennego wieczora, kiedy byłam na spacerze dla zdrowia jak doktor zalecił żeby głowa tak nie bolała
i wtedy było naprawdę pięknie, latarnie, liście i padało, pamiętam miałam taką dużą granatową parasolkę i starałam się niczego nie myśleć
i wtedy to się stało
naprzeciw mnie po tym samym chodniku, młoda bardzo piękna kobieta, było bardzo zimno a ona w takim cienkim płaszczu, miała pomalowane na czerwono usta i ona płakała
i ja tego nie zapomnę. Nigdy. W życiu nic nie czułam oprócz bólu głowy nie mogłam zrobić kroku. Jej łzy, ten smutek tak bardzo mnie zaskoczył na tej ulicy i wszedł jakby we mnie. Intensywność jej emocji, ona miała w sobie coś czego ja nie miałam, miała życie ona żyła
Ja w tedy poczułam wszystko i przez moment poczułam że zakochałam się
wszystkim tym czym tylko dusza może pokochać i ...
Ona szybkim krokiem poszła dalej płacząc, a ja nie mogłam się ruszyć z miejsca
i przecież nic się nie stało,
dalej żyłam swoim życiem, nigdy później nie spotkałam tamtej kobiety.
Tylko czasem lubię sobie pozwolić na chwilę przed snem, wyobrazić że to ja jestem tamtą kobietą.
(wszystko wraca do normy, kobieta kończy mówić i wchodzi do kamienicy)

Scena czternasta

(Przez scenę przechodzi dozorca niosąc drabinę. Stawia ja na scenie gdzieś pod kamienicą)

Pan Marian:

- Panie, co to jest?

Anioł Stróż:

- To ?

Pan Marian:

- No...

Stróż:

- To jest drabina do nieba.

(Anioł Stróż znika w kamienicy)

Pan Jacek:

- Wiesz co? Wyobrażałem sobie kiedyś jak byłem młodszy, że umieram. Zawsze chciałem zobaczyć jak by inni ludzie reagowali. Czy koledzy z mojej klasy by się przejęli? I czy byłoby im smutno na moim pogrzebie?

Pan Staszek:

- Ale teraz nie ma chyba nekrologów dla bezdomnych, nikt nie sprawia wrażenia jakby tego potrzebował.

Pan Marian:

- Po prostu nikogo to nie obchodzi.

Scena piętnasta

Panowie dalej cicho rozmawiają przy murze kamienicy przychodzi już któryś z kolei mieszkanka czy mieszkanka Kamienicy. Światło nagle zwęża się i jak reflektor policyjny kieruje się w stronę kobiety.

(I z off-u pada pytanie)

- A ty?

- Ja Maria. A na drugie Małgorzata.

(dużo w tym monologu ciszy i takiego tęsknienia)

To nie do zrozumienia jak jeden człowiek drugiemu zostawia nieświadomie siebie w duszy.

Dusza człowieka jest zbudowana jakby z cegieł, które wypalają się w rozmowach kiedy patrzysz na drugiego człowieka. Zbudowało mnie to jak patrzyłam na ciebie, jak mogłam doświadczać tego kim jesteś.

Jedno spotkanie jedna relacja.

Wiesz to w sumie zabawne, nie mogę być chyba artystą, bo nigdy nie zakochuję się od pierwszego wejrzenia, zawsze potrzebuję więcej czasu niż jedno spojrzenie. I kiedy myślę o tym momencie jak zjawiłaś się gdzie we mnie, to zawsze zaczynam od sceny i od tego jak jesteś piękna.

Bo jesteś piękna.

Minął rok.

Tak naprawdę minęło mnóstwo czasu i kiedy próbuję patrzeć na tę relację z perspektywy dojrzałego człowieka to nie umiem, nie jestem dojrzałym człowiekiem. Dorosłym też nie do końca.

Moja pierwszą miłość. Szkoda że cię nigdy nie pocałowałam. Jest taki rodzaj miłości nie określonych które nigdy się...

I cały ten rodzaj niezatartej radości, którą mam do dzisiaj w sobie, jak wtedy kiedy przez całe boże trzy godziny jadłaś ze mną kolację.

I te powroty, i gadanie o rzeczach na które jeszcze nie ukształtował się mój pogląd.

Wszystko to tylko ślizganie się po powierzchni. I nawet nie wiesz jak mnie bolały wszystkie te momenty kiedy byłam dla ciebie tylko powietrzem, jak był ktoś ważniejszy ode mnie. Nie, nie mam żalu. Widziałam, że nigdy nie będę ważniejsza niż starsza siostra czy starej przyjaciółka.

I tak złamałaś coś,

dowiedziałam się, że nie jestem dla ciebie tak ważna jak ty dla mnie.

Boże, pozwól żebym nigdy nikomu nie złamała czegoś tak delikatnego, daj mi nie robić innym krzywdy w ten sposób.

Takie rzeczy gdzieś w człowieku zostają i to chyba na zawsze.

Lubię sobie wyobrażać jak spotkamy się za parę lat, w innym miejscu życia i co ja wtedy poczuję kiedy cię zobaczę.

I jak będzie wyglądał twój mąż, i czuję że go znienawidzę przez samą ideę bycia twoim mężem.

Takich rzeczy nie powinno się pisać publicznie. I byłaś pierwszą osobą dla której napisałam wiersze, tak świadome, i powstał tomik który nigdy nie zostanie...

I tylko zabawne jest to, że cała nasza relacja, że tyle emocji, które we mnie siedziały, że tak naprawdę nic się nie stało.

Tylko zbudowałaś część mojej duszy.

A teraz, tak po prostu, jakby to był naturalny i oczywisty sposób rozejdzemy się gdzieś w bok.

(Kobieta kończy, patrzy tylko smutno przed siebie i wchodzi do kamienicy, wszystko wraca do normalności)

Scena szesnasta

Ostatni raz w domu smutnego młodzieńca

Nasz główny bohater:

- Zaczęło znowu padać.

Bóg :

- Jesień...

Nasz główny bohater:

- Uwielbiam.

Bóg:

- A ty chcesz tak w deszcz iść?

Nasz główny bohater:

- Muszę.

Bóg:

- A wracając do tematu. Nic nie mam do kamienic, ale mieszkają tu zbyt poranieni ludzie.

Nasz główny bohater:

- Poranieni? Nazwijmy rzecz po imieniu - sami wariaci.

Bóg:

- Opowiem ci coś - słuchasz?

Nasz główny Bohater:

- Słucham.

Bóg:

Pan Cogito

szczył się w młodości

niebywałym bogactwem

przyjaciół

jedni za górami

zamożni w talenty i dobra

inni

jak najwierniejszy Władysław

biedni jak mysz kościelna...

Nasz główny bohater:

- Ale...

Bóg:

- Cicho!

ale - wszyscy

co się zowie

przyjaciele

wspólne gusta

ideały

bliźniacze charaktery

... z nieubłaganym

biegiem lat

liczba przyjaciół
topniała

odchodzili
parami
grupowo
pojedynczo

jedni bledli jak opłatek
tracili ziemskie wymiary
i gwałtownie
lub wolno
emigrowali
w błękity

inni
wybrali mapy
szybkiej nawigacji
wybrali bezpieczne porty
i odtąd
Pan Cogito
stracił ich
z pola widzenia

Pan Cogito
nie wini za to nikogo

zrozumiał że tak musi być
naturalna kolej rzeczy

(od siebie mógłby dodać
że zanik trwałych uczuć
surowa historia
konieczność jasnych wyborów
decydowały
o rozwodach przyjaźni)

Pan Cogito
nie sarka

nie narzeka
nie wini nikogo

zrobiło się trochę
pustawo

Ale za to jaśniej...

(wszystko w mieszkaniu zastyga a my przenosimy się na ławkę po raz ostatni)

Pan Jacek:

– Coś się stało?

Pan Staszek:

– Nic się nie stało.

Pan Marian:

– Wyglądasz jakoś niewyraźnie, taki jakoś blady jesteś.

Pan Staszek:

– Nie, nic się nie stało – nie wiem – nic. Przynajmniej nic wielkiego.

(patrzą na niego po przyjacielsku)

Pan Jacek:

– Tak mi jakoś smutno, po prostu. Wiecie, chciałbym wam powiedzieć coś wielkiego i strasznego, że wyrzucono mnie z pracy (ale ja nie mam pracy), albo, że ktoś bliski mi umarł, albo gdybym się chociaż zakochał, gdyby się coś stało, nie wiem, moglibyście wtedy poklepać mnie po plecach i powiedzieć – trzymaj się stary, jakoś to będzie – a ja bym zrobił smutną minę i powiedział – ach tak, tak – wtedy jeszcze powiedzielibyście – dasz radę, jesteśmy z tobą i wrócilibyście do siebie, samozadowoleni, że spełniliście swój katolicki obowiązek i pocieszyliście smutnego, ale nie, bo przecież nic się nie stało, tylko jakoś tak boli mnie w środku.

Nic się nie stało.

(światła gasną, zostajemy tylko w mieszkaniu głównego bohatera, Bóg kontynuuje)

Bóg:

Pan Cogito

pogodził się łatwo

z odejściem wielu przyjaciół

jakby to było

naturalne prawo

obumierania

(główny bohater zapina ostatnie walizki, układa książki, szykuje się do wyjścia)

z tymi którzy odeszli
na zawsze
poza mury Cesarstwa Empirii
utrzymuje stosunki żywe
i niezmiernie dobre

stoją za jego plecami
obserwują go bacznie
bezwzględni ale życzliwi
(zakłada płaszcz, wkłada kaszkiet, bierze w dłonie walizki)

gdyby ich zabrakło
Pan Cogito
spadłby
na dno
opuszczenia

stanowią jakby tło
i z tego żywego tła
Pan Cogito
wysuwa się o pół kroku
nie więcej niż pół kroku

w religii jest na to termin
obcowanie świętych
Nasz główny bohater:
– Ale przecież to jest mój wiersz!
(światła przygasają, pozostaje jedno punktowe na środku, tak jak w pierwszej scenie spektaklu, bohater w nie wchodzi)
Pan Cogito
daleki od świętości
dotrzymuje kroku
nieruchomym

a oni są jak chór

na tle tego chóru

Pan Cogito

nuci

swoją arię

pożegnalną

(nasz główny bohater stoi na środku w plamie światła, tak jak w pierwszej scenie, patrzy smutno na widownię i szybkim krokiem odchodzi w cień, światła gasną)

Angelika Kowalska /Włoszczowa/ Cogito ergo sum [Z. Herbert – „Siódmy Anioł”]

WYSTĘPUJĄ:

GABRIEL – najstarszy z braci, ma kontakty „na górze”

AZRAEL – pedantyczny perfekcjonista

RAFAEL – egzaltowany strażnik patosu w muzyce

AZRAFAEL – boski stylistą

MICHAŁ – bodyguard o małym mózgu i wielkich mięśniach

SZEMKEL – przemytnik, wicherzyciel, trzymany w niebie wyłącznie z uwagi na konieczność zachowania liczby siedem

Scena I

Ciemność, głos wydobywa się jakby znikąd. Przypomina szemranie wiatru.

PROLOG:

Podpora tronu, baldachim złoty
osądzi dzisiaj, w jakie kłopoty
nasz siódmy anioł znowu się wplątał.

Znikąd ratunku! Mocne dowody
raczej na szkodę działają, oby
Szemkel pokorą podbił sędziego.
Serce Gabriela nie zna dobrego...

Scena II

Sala sądowa. Po lewej stronie siedzą: AZRAEL, AZRAFAEL, RAFAEL. Na lewo – SZEMKEL ze związanymi złotym sznurem dłońmi, za jego plecami stoi MICHAŁ. Miejsce sędziego zajmuje GABRIEL.

GABRIEL:

(uderzając młotkiem)

Niechaj będzie pochwalony...
Ciszej, ciszej, bardzo proszę!
Ród anieli zgromadzony
pełen dumy i odwagi,
dziś przedstawi sprawę Panu.

AZRAEL:

(wstając z miejsca)

Kierowca planet ma już dość!
A patrząc z tej... eee... perspektywy,
Ród Angelusów cierpi wstyd
Za zbeszczeszczoną sprawiedliwość.
Ten brat nasz, Szemkel, od lat tysięcy
szmugluje dusze z piekieł do niebios.
Czy to ma sens? Czy ostateczny
Sąd robić trzeba? Czy Pan jest content?
Ach, jeden anioł bez piątej klepki,
Zaburzył cały niebios porządek!

GABRIEL:

Zarzut poważny, kara surowa
Nie śmie ominąć zarzucanego
czynu. Szemkelu, cóż na te słowa
raczysz powiedzieć?
Grymas goryczy ci nieznajomy.
Wciąż się uśmiechasz! Cóż tobie, bracie?
Czyś słaby? Chory? Szemkelu, czemu
wciąż się uśmiechasz? Powiedz!

SZEMKEL:

(pozostając na miejscu)

Przepraszam, bracie, mea to culpa.
Przyznać się muszę do wszystkiego.
Przeprowadzałem dusze zgnębione
na drugą stronę.

(unoszą głowę)

Lecz cóż w tym złego?
Pan dał dekalog czysty, przejrzysty,
a jasno stoi w nim „kochaj bliźnich”.
Zastosowałem się do poleceń.

GABRIEL:

Głupiś, Szemkelu. Na ludzkie dzieła
Pan dał ten kodeks. Nie na anieli
wzór prac. My, bracia drodzy,
jużeśmy szczyty osiągnęli.
Nam już nie trzeba żadnych przykazań,
przemów, spowiedzi, samokrytyki.
My doskonalni i idealni,
nieomylnymi zwani byliśmy.
No, chociaż przyznam, czasami z Bożej
premedytacji straszymy ludzi.
Słabe mróweczki, gdy jedna z drugą
zobaczą skrzydła i majestaty
padają na twarz. Chcą spłacać długi
względem „religii” - stąd katastrofy.
(*łagodnie*)

Ten, kto zrozumie, żyje po cichu,
ma piątkę dzieci, w pracy kłopoty,
umrze na zawał. Potem wśród fanfar
wstępuje w niebo. I znów po cichu
dostaje numer (*obozowy*)
i spędzi wieczność. Kiedyś tam, cicho,
zaprotestuje.

(*po chwili, akcentując każde słowo*)

A my już głośniej...

AZRAEL:

Tak być powinno!
Nie występować przeciw zasadom!
Lecz ty, Szemkelu, wszystko zniszczyłeś.
Żądam nagany. Kary. Krwi! Bracie,
żałuję, że w niebie się pojawisz.
(*przykłada dłoń do ust, siada; wstaje Rafael*)

RAFAEL:

I ja, Gabrielu, mam coś przeciwko.
Dołączę więc do Azraela
i z wielkim żalem przyznać muszę,
że Szemkel zdeprawował duszę
piosenką...!
(*załamuje ręce*)

Ten tu chłopaczek – wskazuję palcem
tę duszę zgietą ciężarem winy-
Jemu dziewczynka o złotych włosach
Serce złamała. On wpadł w gorączkę,
po sznur chciał sięgnąć.

I tak być miało! Dusza grzesznika
w piekle się smażyć winna. Tymczasem
brat nasz pomału
odwiódł ją od haniebnego czynu
muzyką! Bracie, Szemkel bezczelnie
dar mój wyzyskał. Jego to winą...

GABRIEL:

Już drugi zarzut!

I coś, Szemkelu, znowu wymyślił?

Niech sobie grzeszą.

Cogito ergo sum, rzecz zwyczajna.

Każda myśl przeciw prawu się zwraca.

Lecz nam nie bronić, sądzić będziemy. Rzuć ludzi.

Cóż po nich dobrego czekać?

Jeśli któryś chce ginąć – niech zginie.

W ogniu piekielnym przez pokolenia

trwa. Prawda to? Duszę zmienisz?

Czy twa muzyka mogła nawrócić?

Nie jesteś w chórze, nie umiesz śpiewać,

twe brzmienie głosu kaleczy uszy.

Lecz zignoruj zgubione nutki i proszę!

– zanuć.

SZEMKEL:

Przed czym uciekasz, samobójco?

Sznur i gałąź twoją pokusą.

Zamykasz oczy, uszy, serce,

Cierpisz całą swą biedną duszą.

Nie chcesz docenić piękna świata!

Gdy słońce wkrada się przez komin

Uparcie twierdzisz: „Och, jak ciemno!”

„dobranoc” mówisz na „dzień dobry”.

I nie chcesz kochać. Nienawidzisz!

Aż serce staje się kamieniem.
Czego się boisz, samobójco?
Nigdy nie staniesz się swym cieniem.

Dlaczego nie zerwiesz z lękami?
Nie lepiej zacząć od początku?
Zwolnij, przywołaj uśmiech na usta.
Przyjmij wyzwanie: wytrwaj do piątku.

RAFAEL:

Słyszysz, Gabrielu! Gdzie tu powaga?
Honor? Majestat? Dość już mam tego!
Drogi Szemkelu, wszystko zniszczyłeś.
Dość już mam tego! Znów wystąpiłeś
przed szereg. Kary. Krwi żądam! Bracie,
szkoda, że w niebie się pojawiłeś.
(przykłada dłoń do ust, siada)

GABRIEL:

(wzdycha ciężko)
Czy to już koniec naszej rozprawy?
Czy jeszcze
zechce ktoś zgłosić nowe pretensje?

AZRAFAEL:

(zerwawszy się z miejsca)
Ja! Azrafael, patron artystów
i wszelkich innych społecznych mętów,
mam żal do brata za złe postęпки,
które ujmują naszą szlachetność.
Każdy z nas siedmiu w czasie podanym,
co lat x tyle a tyle z y,
ukazać musiał się ludziom, aby
wielbić nas mogli.
Poeci stworzą hymny i psalmy,
rzeźbiarze – rzeźby, pisarze – księgi,
inni zgłupieją.
Ale malarze, śmietanka twórców, znają portrety.
I wciąż siwieją!
Bo jakże mogą nas odwzorować
patrząc po brzydszym bracie Szemkelu?

My, sędzio, piękni, wysocy, złoci,
pełni powagi i dostojeństwa.
Oczy niebieskie, cera bez skazy,
postawa dumna, zbroja zwycięska.
A Szemkel...!
Mały, czarny, nerwowy.
Na czole bruzda, na twarzy
uśmiech mało poważny.
W dodatku brak mu mięśni Michała,
zbroi zwycięskiej. A te tachmany!
Skrzydła swe co dzień wiesza na ścianie,
niczym pamiątkę z dawnych wakacji.

GABRIEL:

Cóż za zniewaga! Na to przestępstwo,
drogi Szemkelu, nie ma obrony.
Przecież mam oczy: widzę,
że tobie za nic się zdają anielskie trony.

SZEMKEL:

(pewny siebie, mocno)

Moje są ziemskie pola i lasy,
woda źródłana, kromeczka chleba.

Cóż więcej trzeba? Serca.

I tyle. Myśl jest tą drugą. Mówię
nie z woli nieba, lecz uczuć: amo.

Ergo sum jest gdzieś tam, w tyle.

Amo – i słońce jaśniej zabłyśczy.

Amo – i wróg do ciebie się śmieje.

Amo – pogodzą się wszyscy bliscy.

Amo – cogito sensu nabierze.

GABRIEL, AZRAEL, RAFAEL, AZRAFAEL, MICHAŁ:

Szemkelu!!!!

GABRIEL:

Tobie już, bracie, nic nie pomoże.

Z przykrością rzeczę: siejesz herezję!

I jako sędzia wyrok przedłożę.

A wyrok straszny: z nieba wypadasz.

Jesteś zwolniony, nie chcemy ciebie

tutaj, Szemkelu. Burzysz porządek,

łamiesz zasady i za to...

(gniewną tyradę przerywa rozbłysk światła, na chwilę zapada cisza; anioły stoją w osłupieniu)

Kocham cię, przyjacielu!

Cogito – amo, ergo cogito.

Jedno jest ważne i drugie ważne.

Oba winny być tronu podporą.

Szemkelu, wybacz nam dumę,

złości i słowa przykre,

kodeksy zasad. Pogódź się!

Bracie, nas siedmiu mocnych

musi trwać razem. Kochaj...!

(anioły porzucają konwenanse, podchodzą do oskarżonego, klepią go po plecach, okazują czułości)

AZRAEL:

Więc teraz, bracie, w ramach przeprosin,

zapraszam ciebie: obiad rodzinny

już teraz, sprawdzę...

(wyjmuje i wertuje kalendarzyk, podgryza długopis)

w niedzielę będzie.

Trzeba zażegnać kryzys rodzinny.

MICHAŁ:

Koniec zabawy. Uniewinniony!

Idź więc, Szemkelu, nie grzesz już więcej.

Mniej na uwadze wszystkie te słowa.

Żegnaj! Jeszcze całusa złożę na ręce...

GABRIEL:

(nadal na swoim miejscu)

Michale, zbliż się tu, do mnie. Blisko.

I szepnij bratku, cicho, cichutko...

Jak idą prace? Czy wszystko dobrze?

Nim zdąży zwątpić,

będzie porządek.

SCENA III

Widac już tylko sylwetki rozczulającej braterskiej miłości, mówi głos znany ze sceny I.

EPILOG:

Nieważne, ile słówek ci szepną.

Obiad rodzinny, uśmiech, sympatia -

- miej się na baczność. Bo zło zwycięża.
Tryumfuje nawet w tych „lepszych” czasach.
Dobry nigdy nie zazna spokoju.
Za jedno słowo – straci przyjaciół.
Za godne czyny – tylko w twarz spluną.
Tych, co otoczyć chcą go, nie sposób
przejrzeć. Prześladowania nie miną.

Kiedy bezpiecznie spocznieś na laurach
spójrz w serca bliźnich – tam już złe duchy:
Zazdrość, Nienawiść, Głód, Ból i Pycha,
kłują dla ciebie ciężkie łańcuchy.

Biblia Tysiąclecia Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Stary testament, Księga Rodzaju, rozdz. 1, 3-5.

Maria Ziółkowska, Szczęśliwy wieczór, szczęśliwy dzień. Obrzędy, zwyczaje, zabawy, Warszawa 1989.

Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe, Warszawa 2017

REGULAMIN

I. Informacja ogólna dotycząca organizacji konkursu „Giętkie Pióro”

1. Organizatorem ogólnopolskiego konkursu literackiego dla młodzieży o Nagrodę „Giętkiego Pióra” jest Stowarzyszenie Parafiada im. św. Józefa Kalasancjusza w Warszawie (ul. Gwintowa 3, 00 -704 Warszawa).

2. Projekt edukacyjny dla młodzieży w formie 3-etapowego konkursu literackiego jest realizowany dzięki dofinansowaniu ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu Edukacja Kulturalna.

3. Wszystkie informacje dotyczące zasad organizacji Konkursu, jego Regulaminu, składu Jury dostępne są na stronie internetowej www.gietkiepioro.parafiada.pl.

II. Cele Konkursu Literackiego

1. Głównym celem konkursu jest podniesienie kompetencji językowych oraz rozwijanie uzdolnień literackich wśród dzieci i młodzieży w wieku 13-17 lat zamieszkałych na terenie Rzeczypospolitej Polskiej.

2. Podnoszenie poziomu dojrzałości intelektualnej młodzieży – odpowiedzialności za słowo, nabywanie niezbędnych umiejętności pod okiem specjalistów, kształtowanie postaw patriotycznych poprzez wpajanie szacunku dla własnej kultury i własnego języka oraz historii.

3. Upowszechnianie wiedzy o patronie roku – Zbigniewie Herbercie oraz jego twórczości.

III. Zasady uczestnictwa w Konkursie

1. Konkurs adresowany jest do młodzieży w wieku 13 – 17 lat (urodzeni w latach: 2000 – 2004).

2. Konkurs rozgrywany jest w 3 etapach w terminie od 20 maja 2018 do 31 grudnia 2018 r.

3. Prace nadesłane na Konkurs muszą być pracami własnymi, napisanymi w języku polskim, wcześniej niepublikowanymi i nienagrodzonymi w konkursach literackich.

4. Jeden autor może przedstawić jeden utwór.

5. Przebieg Konkursu:

START – w Konkursie mogą wziąć udział uczniowie wszelkiego typu pla-

cówek oświatowych. Zgłoszenia w formie elektronicznej dokonuje nauczyciel/nauczyciele języka polskiego za pomocą formularza zgłoszenia do Konkursu dostępnego na stronie internetowej: www.gietkiepioro.parafiada.pl

Przesłany formularz zgłoszeniowy jest deklaracją uczestnictwa we wszystkich etapach Konkursu.

I ETAP – ESEJ NA TEMAT PRZEDMIOTU CODZIENNEGO UŻYTKU Z WŁASNEGO OTOCZENIA W STYLU ESEISTYKI Z. HERBERTA Z „BARBARZYŃCY W OGRODZIE” (esej do 1000 słów)

II ETAP – NOWELA KONKRETU CODZIENNOŚCI INSPIROWANA WIERSZEM „PIEKŁO” (objętość pracy maks. 4 strony A4). Ten etap Konkursu przeznaczony jest dla autorów maksymalnie 20 najwyższej ocenionych esejów.

III ETAP - COGITO ERGO... SUM – SCENARIUSZ SPEKTAKLU Z INSPIRACJI WYBRANYM WIERSZEM Z „PANA COGITO” HERBERTA (objętość pracy maksymalnie 25 stron A4, razem z didascaliami i przypisami odautorskimi).

W III etapie konkursu uczestniczą autorzy maksymalnie 10 najwyższej ocenionych przez Jury

w poprzednim etapie nowel. Dla uczestników III etapu Konkursu przewidziana jest możliwość bezpośrednich i indywidualnych konsultacji z Literackim Opiekunem Konkursu.

FINAŁ – Gala Finałowa pn. Mikołajki z Herbertem ze spektaklem na podstawie najlepszego scenariusza oraz uroczystym rozdaniem nagród i pamiątkowego katalogu pokonkursowego.

IV. ZASADY, TERMINY I MIEJSCE NADSYŁANIA PRAC KONKURSOWYCH

1. Prace konkursowe przekazuje nauczyciel uprzednio zgłoszonego do udziału w Konkursie ucznia/uczniów w formie papierowej i elektronicznej. Zgłoszenie konkursowe musi zawierać:

1. formularz zgłoszeniowy uczestnika / uczestników konkursu

2. Wydruk pracy/prac w jednym egzemplarzu, do których dołączona jest karta informacyjna/metryczka zawierająca następujące informacje: tytuł utworu, imię i nazwisko autora, wiek autora, nazwa szkoły i klasy, adres

szkoły oraz e-mail i numer telefonu kontaktowego nauczyciela zgłaszającego uczniów do Konkursu

3. niezmienny plik elektroniczny (pdf) zawierający prace konkursowe oraz karty informacyjne/metryczki do nich przypisane

2. Terminy zgłaszania prac konkursowych oraz publikacji wyników:

15.06.2018 r.	I POZIOM	ESEJ	-	20.05.2018	-
25.06.2018 r.	II POZIOM	NOWELA	-	26.06.2018 r. - 01.10.2018 r.	-
		WYNIKI II POZIOMU	-	08.10.2018 r.	-
	III POZIOM	SCENARIUSZ	-	09.10.2018 - 29.10.2018 r. /urodziny Herberta/	-
		WYNIKI III POZIOMU	-	05.11.2018 r.	-
	FINAŁ	MIKOŁAJKI Z HERBERTEM	-	/Gala Finałowa/	-
08.12.2018 r.					

3. Prace konkursowe należy przysyłać pod następującym adresem (obowiązuje data stempla pocztowego):

Stowarzyszenie Parafiada im. św. Józefa Kalasancjusza
Ul. Gwintowa 3, 00-740 Warszawa
z dopiskiem na kopercie „Giętkie Pióro”,

i pocztą mailową pod adresem malgorzata.wlodarczyk@parafiada.pl lub osobiście (wersja papierowa + nośnik USB) do siedziby Stowarzyszenia w nieprzekraczalnych terminach:

ESEJ – do 15.06.2018 r., godz. 16.00

NOWELA – 01.10.2018 r., godz. 16.00

SCENARIUSZ – 29.10.2018 r., godz. 16.00

V. OCENA PRAC KONKURSOWYCH I NAGRODY

1. Kryteria oceny prac:

- twórczy charakter utworu,
- poprawność stylistyczna i językowa,
- poziom literacki pracy,
- samodzielność i oryginalność,
- ogólna estetyka pracy.

2. Wyniki oceny prac będą publikowane w terminach określonych w pkt IV. 1b na stronie internetowej www.gietkiepioro.parafiada.pl i na fb.

3. Dla zwycięzców Konkursu przewidziane są następujące nagrody:

1. statuetki: Złote, Srebrne lub Brązowe Pióro oraz nagrody rzeczowe w postaci sprzętu multimedialnego i dyplomów.

2. spektakl teatralny wystawiony na podstawie najlepszego scenariusza w Sali Teatralnej Kolegium Zakonu Pijarów w Warszawie (ul. Gwintowa 3, 00-704 Warszawa) podczas Gali Finałowej pn. Mikołajki z Herbertem w dn. 08.12.2018 r.

3. dla laureatów każdego etapu konkursu drobne upominki oraz dyplomy.

4. publikacja najlepszych utworów z każdego z etapów konkursu w pamiątkowym katalogu pokonkursowym wydany na Galę Finałową.

5. dla nauczycieli uczestników konkursu, których uczniowie zakwalifikowali się do udziału

w III Poziomie Konkursu drobne upominki i dyplomy

4. Uroczyste ogłoszenie wyników oraz rozdanie nagród w konkursie o Nagrodę „Giętkiego Pióra” nastąpi podczas Gali Finałowej pn. Mikołajki z Herbertem w dn. 08.12.2018 r. z udziałem przedstawicieli grantodawcy, mediów i zaproszonych gości.

VI. POSTANOWIENIA KOŃCOWE

1. Decyzje Jury są nieodwoławalne oraz niezaskarżalne.

2. Organizator Konkursu zastrzega sobie prawo do wykorzystania powyższych prac w publikacjach promujących projekt „Giętkie Pióro” oraz działalność Stowarzyszenia Parafiada, bez uiszczania honorarium autorskiego.

3. Uczestnictwo w Konkursie jest równoznaczne z akceptacją jego Regulaminu.

4. Prace przesłane do Konkursu nie będą zwracane.

5. Organizator zastrzega sobie prawo do zmiany terminów w niniejszym regulaminie, jeżeli będą tego wymagały okoliczności obiektywne.

OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI DLA MŁODZIEŻY

z inspiracji słowem Zbigniewa Herberta w 20 rocznicę śmierci

Spektakl KUBEK POWSTAŃCA

Na podstawie scenariusza

Michała Matyszkiewicza

Reżyseria: Grzegorz Jach

Obsada:

Witold Bieliński

Weronika Michalak

Tomasz Bieliński

Agata Kiełbińska

Sebastian Pudzianowski

Scenografia: Stanisław Wykowski

Charakteryzacja: Julia Borowska

Realizacja techniczna: Jan Wykowski

W spektaklu wykorzystano nagrania piosenek z Powstania
Warszawskiego
oraz poezję Juliusza Słowackiego i Zbigniewa Herberta

8 grudnia 2018 (sobota), godz. 12.00

Teatr Kolegium Zakonu Pijarów

(00-704 Warszawa, ul. Gwintowa 3)